ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK IX. LONDYN, 1 maja 1955 r. Nr. 18 (410)

PUNKTY WIDZENIA

WĄTKI BIAŁO-CZERWONE

„Gazeta Niedzielna", tygodnik wychodzący w tym samym ośrodku, w którym wychodzi „Życie" od kilku tygodni przygotowywała swój trzeciomajowy numer. Chodziło o to, aby wśród materiału, dotyczącego spraw dzieci i młodzieży polskiej na emigracji, znalazł się i artykuł, który by w przybliżonych choćby cyfrach statystycznych zarysował problemy ludnościowe emigracyjnej grupy polskiej.

Pomimo dużych wysiłków i zwracania się do wielu organizacji o zasięgu światowym, które powinny mieć bodaj niedokładne zestawienia statystyczne, potrzebnego materiału nie można było uzyskać. Żaden z ośrodków polskich nie wie, jak wielka liczebnie jest polska emigracja polityczna. Otrzymaliśmy z różnych źródeł jedynie cząstkowe dane, polegające bardziej na domniemaniach, niż na liczeniu. Rozporządzając tym bardzo kruchym materiałem, postanowiliśmy jednak przeprowadzić próbę ustawienia obrazu ogólnego. Zdajemy sobie przy tym w pełni sprawę z tego, iż podane cyfry są jedynie dalekim od precyzji przybliżeniem i z całą wdzięcznością przejmiemy wszystkie poprawki i uzupełnienia, traktując podane cyfry szacunkowe jedynie jako punkt wyjścia pracy, która powinna być jak najprędzej wykonana.

Według więc wspomnianego oszacowania liczebność nowej emigracji, która po 1 września 1939 r. znalazła się poza granicami Kraju i mieszka w rozproszeniu na wszystkich obszarach wolnego świata, razem z urodzonymi już na emigracji dziećmi, przedstawia się następująco:

Ogólna liczba emigrantów wynosi około — 1.200.000 osób.

Pod względem wieku grupa ta rozpada się na następujące kategorie:

od 45 lat w górę — 600.000 osób,
od 21 do 45 lat — 240.000 osób,
od 1 do 21 lat — 360.000 osób.

Nawet z tak przybliżonego obliczenia wynikają bardzo zasadnicze wnioski, które przy dokładniejszej analizie znajdują potwierdzenie w zjawiskach potocznego życia.

Pierwszy przede wszystkim wniosek, to oczywistość, że polska emigracja polityczna złożona jest głównie z osób starszych, albowiem około 50 procent stanowią ludzie ponad lat 45, z tym jeszcze, że w kategorii tej przeważa grupa lat 50 — 70 i to w mocnej progresji, ku bliżej górnej granicy wieku.

Drugi wniosek, również o bardzo doniosłym znaczeniu, to stwierdzenie, iż liczba pokolenia średniego, które by normalnym trybem rzeczy powinno przejmować ciężary prac społecznych i politycznych z ramion pokolenia odchodzącego, jest alarmująco mała.

Trzeci wreszcie bezpośredni wniosek, to znaczna liczebność pokolenia najmłodszego. Szczególnie silne są roczniki 1945 — 1949, dzieci, które w tej chwili mają od 5 do 10 lat życia. Ten ostatni wniosek jest z pozoru niesłychanie krzepiący, gdy się go jednak zacznie dokładnie rozważać i porównywać z naszą rzeczywistością emigracyjną, otwiera on głęboką problematykę, szczególnie z zakresu odpowiedzialności. Sprawa bowiem sprowadza się do tego, iż przyszłość polskiej emigracji politycznej i jej roli w prowadzeniu sprawy polskiej — o ile, rzecz prosta, nasz powrót nie nastąpi w ciągu najbliższych lat — zależy od tego, co potrafimy zrobić właśnie z tymi setkami tysięcy młodych osób.

Gdy się tylko ten temat postawi w polu myślenia i dyskusji, natychmiast nasuwają się same gorzkie refleksje. Przede wszystkim pierwsza: uświadomienie sobie tego kluczowego faktu potrzebowało aż dziesięciu lat, aby się przedrzeć przez myśl emigracyjną i stanąć wreszcie w formie problemu do rozwiązania. Ten jeden tylko choćby fakt świadczy o tym, w jak małym stopniu polityczna myśl emigracyjna jest myślą na prawdę, a w jak wielkim stopniu jest emocją o pozorach intelektualnych. Sześćdziesięcioletni, siedemdziesięcioletni stojący nad grobem politycy wyprawiają awantury na temat wydzierania sobie prymatu wiedzy jak zbawić Polskę, a sprawa pokolenia średniego i pokolenia dzieci została poniechana przez nich na uboczu, nie załatwiona. Gdyby nie koła parafialne, gdyby nie ofiarny ksiądz i nauczyciel polski, gdyby nie garstka społeczników — rzecz cała byłaby do tej chwili najzupełniej nietknięta.

Klasycznym przykładem, a zarazem znakiem wstydu dla tych, którzy tu zawinili, jest sprawą niewydania „Książki dziecka polskiego", czytanki, która dawno została zaplanowana, w dużej mierze wykonana i prawie w całości sfinansowana. Rzecz wlecze się około pięciu lat, zajmowały się nią rządy polskie, zajmował się nią Skarb Narodowy w poprzedniej swej fazie, zajmowały się jakieś organizacje. Książki nie ma, manuskrypty leżą w szafie, a pieniądze na kontach bankowych. Okazuje się, że łatwiej zrobić wybory, niż wydać książkę, która by powstrzymała proces wynaradawiania dzieci polskich.

Szkółki sobotnie, powstałe — trzeba to z całym naciskiem podkreślić — z inicjatywy idącej od dołu, oraz różne kursy dokształcające w przedmiotach ojczystych obejmują na Wyspach Brytyjskich w tej chwili swym zasięgiem około 4.000 dzieci i młodzieży. Według zaś szacunkowych obliczeń, dzieci i młodzieży różnego wieku jest na tym samym terenie około 48.000. Czyli, że objętych wpływem nauczania polskiego (odliczając grupę najmłodszą) jest 10 procent ogółu osób tej kategorii! Na innych terenach jest jeszcze gorzej.

Wiele dzieci polskich nie mówi w ogóle po polsku, wiele mówi błędnie, wiele mówi, ale nie umie po polsku czytać. Niemal zaś wszystkie dzieci, w mniejszym czy większym stopniu, zarażone są lekceważeniem dla kraju ojczystego, jako kraju biednego i o niskiej kulturze, refleks pojęciowy przebywania w szkołach zachodnich. Szkółki sobotnie i kursy dokształcające kładą wiele wysiłku w hamowanie tych procesów. Po pierwsze jednak działają na mały tylko odsetek młodzieży, po wtóre zaś ich działanie jest krótkotrwałe w czasie i nie wsparte potrzebnymi pomocami. Rozbudzone w polskości przez trzy godziny w sobotę, idzie dziecko na cały pozostały tydzień w zasięg działania obcej szkoły. Nie niesie w ten tydzień w swoich rękach prawie nic. Książek dla dzieci, pism dziecięcych, albumów historycznych jest bardzo mało. Z dostępnych książek, jest tylko tych kilka niezłych książeczek, które dotąd na emigracji wydano, oraz setki książeczek z Kraju, wśród których wiele jest urzekająco pięknych, ale jeszcze więcej takich, gdzie za słowo polskie dziecko emigracyjne musi płacić ukłonem dla Bieruta lub wyzwiskami na szlachecką przeszłość.

Poruszony temat jest tematem olbrzymim, wymaga wszechstronnego i bardzo dokładnego rozważania. Tu tylko postawienie problemu:

Zagadnienie najmłodszego pokolenia emigracyjnego jest sprawą emigracji jedną z najważniejszych. Aby ją rozwiązać, potrzeba czterech natychmiastowych działań: 1) szerokiego uświadomienia sobie istniejącego problemu i, na tle tej świadomości, powstania koncepcji, która by nadała kierunek całej pracy; 2) szerokiego, a bardzo precyzyjnego planu wykonawczego, który by obejmował możliwie całość, w swej liczebności i swej złożoności typów, młodzieży polskiej; 3) pomocy całego społeczeństwa emigracyjnego w tym sensie, aby było wiadomo, iż każdy z nas zna sprawę, rozumie ją i na dostępnym sobie odcinku wspiera w stopniu najwyższym, i wreszcie 4) wydawania dobrych, tanich, porządnie graficznie wyglądających książeczek dla dzieci i młodzieży, oraz nowych podręczników z zakresu nauki religii i przedmiotów ojczystych. **J. K.**

MELCHIOR WAŃKOWICZ

MADONNA NIEWOLNIKÓW *)

Na północ ziemi równej, nikomu nie bronnej, nie okolonej gór dzikich przewagą, ani grodzonej niezgłębionym morzem, rozparła się szeroka, gościnna raczej niż bronna Bramą Smoleńsko-Witebska, siedemdziesiąt kilometrów między Dnieprem a Dźwiną grodząca.

Na przedpolu polskim tej bramy widnieją kurhany dwudziestu ośmiu wielkich pobojowisk. W jej gardle za naszego pokolenia wyrósł jeszcze jeden kurhan — Katynia. Na przedpolu zaś



Płaskorzeźba T. Zielińskiego
Matka Boska Zwycięska z Kozielska

moskiewskim bramy w widłach Żyzdry-Dragunki leży Kozielsk, niegdyś kresowa twierdza, mająca w herbie przez Rzplitą proroczo nadanym dziesięć czarnych krzyży w krwawym polu.

Bo groby Katynia tak wypełnili jeńcy z Kozielska, jak w XIII wieku wypełniły fosy tej twierdzy ciała obrońców wyrżniętych przez Mongołów tak obficie, że dowódca twierdzy pono utonął we krwi.

Mon-Bugu-Sun — „kąsającym miastem" nazwali zdobywcy Kozielsk.

Zabiegliwe dłonie zagajały rany. Stanął klasztor bazylianów, którego stauropegion w 1518 we Lwowie stawiał polski magnat, książę Konstanty Iwanowicz Ostrogski.

Eurazjatycka fala znowu napłynęła aż na przedpole smoleńskie. Wygnani zostali protoarchimandryci z ramienia Rzplitej, wypryszczyły się na wczesnym polskim baroku wielkoruskie baniaki, przyszedł „Bóg Groźny", którego przekornie za Słowackim wynosił Hauke, Bóg, któremu porówno służą chramy jak turmy. To tu Iwan Groźny postrzygał na monaszki-więźniarki do klasztoru-łagru kobiecego córki bojarów, to tu „zatoczył w monastyr" i więził w chramie-turmie własną córkę Zofię.

Zaiste — jeśli słuszna to rzecz, by herbem miasta na rubieży światów były krzyże czarne na krwawym polu, tedy słuszną jest rzeczą, że zakon bazylianów miał w herbie kolumnę trawioną płomieniami z obu stron.

Upłynąć nieco musiało czasu, aż się groźny „Bóg Wschodni" dogadał z hordami czerwonymi, które przyszły hordom mongolskim na zmianę. Zniszczył Budienny bombardowaniem klasztor z cierkiewkami, co naokoło nasiadły, rozegnał jeńców, ruiny pozamieniano na składy, trawa pozarastała, czekał Kozielsk, na dwie strony na ognie podany — nowych znaków.

I wtedy od tamtej, zachodniej, zapoznanej strony, z której kiedyś przypłynął z bazylianami obraz Żyrowickiej Bogurodzicy w Rzymie sławiony, przyszły ponownie znaki, ale nie w batorowym marszu, jako dawniej, nie w chrzęście husarii Żółkiewskiego, nie w chodkiewiczowskiej aureoli.

Znaki przyszły z tłumem jeńców ściszonym, pilnowanym przez czerwone gwiazdy na czapach spiczastych, przez ośmiogranne bagnety.

Wnet, jako wszędzie, na wschodzie i na zachodzie, obce palce plewić poczęły pędy idące z tej masy, rozgniatać w bezwolną maź. Wyrywano medaliki, różańce, szkaplerze, wyławiano u aresztowanych księży sprzęt liturgiczny.

I wtedy wkoło tego, co tępiono, zwarli się wierzący i niewierzący, bo z tymi medalikami i różańcami wyrywano im ostatnie witaminy, którymi ich żywiła ich cywilizacja.

W ogródku nędznym, w środku łagru położonym, zbierały się w oznaczonej godzinie tłumy ludzi i przechadzały się w milczeniu z odkrytymi głowami.

— Co oni robią? — zdumiewał się komendant bolszewicki.

— Msza ichnia teraz, modlą się — chichotali konfidenci.

Więc notował sobie uczestniczących faszystów, ale okazało się, że musiałby odtworzyć cały spis tu przywiezionych.

Dotychczas nie wiadomo, jak z Wilna przeszmuglowano opłatki i rodzynki. Księża w tajemnicy, skuleni na pryczach, pędzili z rodzynków mszalne wino. Na spowiedź wielkanocną chyłkiem szli ludzie setkami do katakumb — w piwnicę, gdzie stały śmierdzące beczki po śledziach, na strych pajęczynami zasnuty. W tych warunkach rosła egzaltacja, ekstaza, która jest z pragnienia.

Podporucznik rezerwy Tadeusz Zieliński patrzył w ogień, w który rzucano wielkie polana. Polana różowiły się drzewem gruszkowym — stare grusze wymroził mróz zeszłych lat. Ppor. Zieliński, absolwent krakowskiej szkoły architektury wnętrz, potomek kilku pokoleń malarzy i snycerzy, z żalem widział jak miękkie drzewo gruszkowe, najpodatniejsze rylcowi, zrzarza się, spopiela, niknie. Z każdego kloca trawionego przez płomień wyzierała wizja niewyzwolonego kształtu.

Jak kiedy zwierzę pojmane przejawia nawyki z woli, tak ręce potomka rzeźbiarzy niespokojnie obracać zaczęły wszelki łom zdybany, odczyszczać, szlifować, aż w ręku Zielińskiego znalazło się osiem dłut — to szerokie strużynowe, to tępe płaskogłowe, kładące pod dzieło pierwszą gładziznę, dopieroż wielkie trójkątne, zwykłe nacinać pierwszy natchniony znak. Dopieroż te, które zapląsają na wygładzonej, z grubsza zaprofilowanej powierzchni, dłuta-rynienki, dłuta w kształcie U, w kształcie V, drobniutkie dłuteczka makilujące kształt już wyłoniony, panny służebne uwijające się z maściami, z barwiczką, z czernidłem, z pudrem.

Ważył w dłoni rzeźbiarz obciosany, lśniący kloc zwartego różowego drzewa, rwą się z ręki jego dłuta, powprawiane w wypolerowane rękojeści, rwą się jak żagle rozdęte w przestrzeń wodną. Rzezać poczyna klocki małe, które ukrywać najłatwiej.

Co rzeza?

Różne są więźnia tęsknoty. Głód mógł nasunąć rylcowi indory wielkanocne, wspaniałe indory, tak jak je zawczesna wypracował Picasso. Gęsi wykarmione, kaczki kwakliwe ciągnące zadem smakowitego tłuszczu, tak jak na porcelanach kopenhaskich; barany krętorogie, szerokozade, piersiaste jak na dawnych fryzach. Tęsknota mogła mu kazać rzeźbić orły srebrnopióre, szyszaki, skrzydła husarskie, Mickiewiczów w grzywie włosów, starszego pana w maciejówce z krzaczastymi brwiami. Chuć zżerająca życie więzienne mogła mu podsunąć wizje o rozłożystych udach, o sprężystych piersiach. Nienawiść podsunąć mu mogła chimery szatańskie, skrzydła i szpony demonów trzymające ich pełgające nad przepaścią życia.

Ale z rzezanych klocków wyłaniała się w tylokrotnej wersji twarz ta sama — słodka i smutna, matczyna i dziewicza, hieratyczna i swoja — ta, co Ostrej świeci Bramie, ta z bliznami na twarzy, elekcją wywyższona na tron, ta, która po stokroć przez stulecia wcielała się w marzenia nieuczonych majsterków, i ta, którą wykradano kościołom papieskim pod wieczną duszy zatratą, ta, która zżyła się z życiem wsi i miasteczek i figur przydrożnych, która ziębła w zmurszałych kościółkach, płowiała pod ich przeciekającymi dachami, swoja była, nie groźna, kochana, przed którą najłatwiej przynieść było grzech ciężki o orędownictwo prosząc, gospodyni po polach chodząca, odchuchująca zmarźnięte ptactwo, błogosławiąca siewom, z obieży wilczych mrzeniem światła wyprowadzająca, przyjmująca łaskawymi dłońmi ofiary wełniaków łowickich, grzybów poleszuckich, kaszubskiego jantaru, ruskich płócien najcieńszych, inna w Ludźmierzu, a inna w Gidlach, a inna w Poczajowie, a inna w Kalwarii, Pani udzielna drobnych nasiedziałych kątów, a równocześnie — Królowa, Matka Boga, Święta, Święta, Święta...

Snuły się rylce gorączkowo po klockach, wydołać nie mogąc tej mnogości wzruszeń, podołać nie mogąc tej niewyrażonej służbie — dać ludziom z wszystkich kątów zza Smoleńskiej Bramy ich Matkę Boską, ich właśnie, najwłaśniejszą i niczyją, a porówno ich pospólną, narodu całego Królową.

Aż pewnego dnia polskie raby odgarniające ostatnie paki i wory ze składziku na żywność umieszczonego w byłej cerkiewce — pod łupiącym się zieleniałym tynkiem dojrzeli rudą plamę. Odłubując dalej naszli zielony, czerwony kolor, wynurzające się al fresco jak z grobu wynurza się ciało zetlałe, błyskające przyćmieniem zbutwiałej szaty, zoksydowaniem preciozów. Zbiegli się patrzeć, aż rozeznali: Pani to z Żyrowic, cudem Bożym nagle na murach rzymskiego kościoła zjawiona, Opiekunka i Orędowniczka bazylianów, którzy Ją ongi przynieśli na te przedpola, pierwszy i najstarszy jeniec osadzony w Kozielsku.

Długie hieratyczne palce spoczęły na szukających oczach:

— Jam jest.

*

Fala egzaltacji wynędzniałych ludzi podnosi się: bo oto jak Abrahamowi Bóg barana uplątanego w krzakach zdarzył, jak Jonaszowi lewiatan się podwinął, a jako Chrystusa oślica uwiązana czekała, tak równo ze zjawioną wizją przyszedł materiał dla jej wcielenia — generał Przeździecki parający się stolarką, w dłoń wziąwszy zakurzoną deskę, wyczuł jej ciężar. Z pajęczyny starte, z pyłu zmyte, z zadrapań zheblowane, ukazało się szlachetne drzewo lipowe starej ikony, przemyślnymi dawnymi metody trawione, jako ołów ciężkie, jak masło rylcowi podatne, jak kość słoniowa zwięzłe, by najcieńszego rycia nie zlewające.

W dwa tygodnie później powstał wizerunek Matki Boskiej Kozielskiej, w który wcieliły się Żyrowicka Madonna i Częstochowska i Ostrobramska.

Obraz został spolichromowany tajemnie farbami otrzymanymi od bolszewików na dekorację kina. A w dole z lewej strony obrazu wpuszczona i skryta deseczka z imieniem twórcy, datą 3 maj 1941 i napisem:

TAK NAS POWRÓCISZ CUDEM NA OJCZYZNY ŁONO.

*

Tak powrót zaczął się drogą okrężną i dotąd nieskończoną.

Dla ludzi, których nie zdążono wybić w Katyniu — w wagonach jenieckich na wschód.

Dla obrazu — na dnie walizki płk. Kosiby.

Melchior Wańkowicz

Przyp. red. Jeden z b. więźniów Kozielska, po przeczytaniu powyższgo fragmentu powieści Wańkowicza, ze wzruszeniem mówił o czasach, które autor odtwarza i wyraził radość, że oto znajdują one swój wyraz w literaturze. Równocześnie dorzucił dalsze szczegóły historii powstania wizerunku Matki Boskiej Kozielskiej, któremu tak ujmujący kształt artystyczny dał Tadeusz Zieliński.

Sama inicjatywa powstania obrazu pochodzi od grupy więźniów, wśród których głównym inicjatorem był por. Tadeusz Birecki. I ten szczegół niewątpliwie znajdzie się w tekście wydania książkowego, które znajduje się obecnie w druku.

*) Fragment z drugiego tomu Trylogii Emigracyjnej, który ukaże się we wrześniu. Tom pierwszy trylogii p. t. „Tworzywo" jest już na półkach księgarskich.

JULIUSZ SŁOWACKI

PIEŚŃ KONFEDERATÓW *)

Nigdy z królami nie będziem w aliansach,
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi:
Bo u Chrystusa my na ordynansach
Słudzy Maryi!
Więc choć się spęka świat i zadrży słońce,
Chociaż się chmury i morza nasrożą,
Choćby na smokach wojska latające
Nas nie zatrwożą.
Bóg naszych ojców i dziś jest nad nami!
Więc nie dopuści upaść w żadnej klęsce,
Wszak póki on był z naszymi ojcami,
Byli zwycięzce!
Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,
Nie ukłękniemy przed mocarzy władzą,
Wiedząc, że nawet grobowce nas same
Bogu oddadzą.
Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
I hufiec Boży.
Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
I szedł na święte kraju werbowanie,
Ten, de profundis, z ciemnego kurhanu
Na trąbę wstanie.
Bóg jest ucieczką i obroną naszą!
Póki On z nami, całe piekła pękną!
Ani ogniste smoki nas ustraszą,
Ani ulękną.
Nie złamie nas głód, ni żaden frasunek,
Ani zhołdują żadne świata hołdy:
Bo na Chrystusa my poszli werbunek,
Na Jego żołdy.

Juliusz Słowacki

*) Z „Księdza Marka".

CZY UDA SIĘ ZDEZORIENTOWAĆ KATOLIKÓW ZACHODU

Coraz częściej na łamach różnych pism obliczonych na katolików Zachodu prorezymowi księża i katolicy świeccy — i to nie tylko z Polski — starają się wykazać słuszność zajętego przez nich stanowiska, a radio moskiewskie i krajów satelickich sekunduje w tych usiłowaniach

Poruszaliśmy już tę sprawę w ŻYCIU. Poniżej przytaczamy jeszcze jedno jej oświetlenie.

„LE MONDE"

Artykuł wstępny „Osservatore Romano" w numerze z dnia 16 marca pt. „Świadectwo chrześcijańskie", poświęcony był sprawozdaniom wysłannika pisma francuskiego „Le Monde" do Polski. Prawdziwi katolicy polscy — pisze dziennik watykański — znajdują się dzisiaj w tych samych warunkach, co wierni za prześladowania Decjusza; ze względów strategicznych i taktycznych unika się karania ich na ciele: komunizm, jak poprzednio hitleryzm nie „robi męczenników", lecz „karze przestępców". W istocie zabija się ich osobę moralną. A inni? Inni są reinkarnacją „traditorów" trzeciego wieku, owych mianowicie, co decydowali się wydawać (tradere) słowo Chrystusowe sługom pogańskiego cezara. W tym powiedzeniu autor artykułu porównywa chrześcijan dzisiejszych wydobywających ze skarbca nauki Chrystusowej (używając wyrażenia Dobraczyńskiego)*) dla użytku nieprzyjaciela Chrystusowego — tego wszystkiego, co może mu posłużyć do dokończenia roboty, z tymi chrześcijanami w państwie rzymskim, którzy unikali prześladowania za cenę wydawania ksiąg Pisma Świętego wrogom chrześcijaństwa.

Jakież jest przewinienie dziennika „Le Monde"?

Oto w szeregu korespondencji z Warszawy o Polsce dzisiejszej wysłannik dziennika interpretuje sytuację katolików w Polsce zgodnie z informacjami, jakie uzyskał od tzw. „katolików postępowych". Dziennik watykański stwierdza, że smutnym zadaniem „postępowości" tak zwanej katolickiej (cosidetto cattolico) jest dawanie broni w ręce władzy wrogiej Kościołowi, dla uderzenia Kościoła. W takich warunkach jest naturalne, aczkolwiek bardzo niesprawiedliwe (profondamente ingiusto), że tężyznę Biskupów i ogromnej większości katolików uważa się za wyraz wstecznych opinii i nostalgii za minionymi czasami; jest naturalne, że internowanie Arcybiskupa Gnieźnieńskiego i Warszawskiego przedstawia się jako „akt obrony państwa", że ośmiela się wciągać w tę sprawę nawet pamięć Kardynała Hlonda i próbuje się pomniejszyć heroiczną tężyznę Kardynała Wyszyńskiego. Jeżeli ci Prałaci, jeżeli wielka liczba Księży wyznaje wiarę w wymuszonym odosobnieniu, w miejscach relegacji, w więzieniach, a także w śmierci zadanej, jeżeli wszyscy ci duchowni świadczą za Chrystusem, kim są inni i kim są „intelektualiści" pisma „Dziś i Jutro", dusze pochlebcze i zabłąkane (animule blandule e vagule), które oscylują między Marksem i Nowym Testamentem, zwracając się chwiejnie w kierunku pierwszego w imię drugiego?

Jest jasne, że wszyscy oni muszą pokusić się o usprawiedliwienie swej pozycji przez insynuacje i często przez zawinione przemilczenia. Wysłannik „Le Monde", dobrze wiedząc z kim ma do czynienia, woli zbierać argumenty progresistów i mówić, na przykład, o milczeniu ugodowym, z jakim miał się spotkać akt gwałtu na Kardynale Wyszyńskim. Czegoż się oczekiwało? Powstania narodu w kajdanach? Lecz byłoby uczciwym przypomnieć to, co wszyscy wiedzą w Polsce i poza nią: kiedy po deportacji Prymasa władze komunistyczne zwołały Biskupów podsunęły im tekst już przygotowany, nie uzyskały podpisów, jakkolwiek później pokusiły się o to, by uwierzono w coś przeciwnego.

Byłoby uczciwym nie zapomnieć o tej rzeczywistości. Także wysłannik „Le Monde", ostatecznie, widzi wystarczająco jasno fałszywą pozycję „katolików postępowych", ale, chociaż ją widzi, nie wyciąga z tego logicznych konsekwencji.

GUTTA CAVAT LAPIDEM...

Emigranci polscy, a zapewne i z innych krajów za żelazną kurtyną, zasypywani są książkami i prasą ze swego Kraju. Jest w tym wielkie niebezpieczeństwo: emigracja może być **rozłożona duchowo** przez reżymy, spod których uciekła, jeśli bezkrytycznie będzie karmić się lekturą zatrutą miazmatami komunizmu i ateizmu. Zwłaszcza zaś niebezpieczeństwo to jest groźne dla dzieci i młodzieży, jeśli bez wyboru będzie dawać się im do ręki prasę i książki przysyłane z Kraju nawet przez krewnych, którzy są może do tego zmuszani. Stare przysłowie łacińskie mówi słusznie: Gutta cavat lapidem non vi, sed saepe cadendo. Kropla wydrąża skałę nie siłą, lecz częstym spadaniem.

*) por. artykuł „Dobraczyński na Zachodzie" w ŻYCIU KRAJU za kwiecień 1955 r.

LEON KOWNACKI

SŁABOŚCI I SIŁA KOMUNIZMU

Publicystyka poświęcona zagadnieniom komunizmu, jego wpływom w wolnej części świata i metodom walki z nimi nie zawsze używa terminu „komunizm" jednoznacznie, wyodrębniając z niego niektóre tylko składniki pojęciowe lub uwypuklając jedne na niekorzyść innych. Powstaje w ten sposób obraz dróg oddziaływania komunizmu nadmiernie rozświetlony w pewnych swych fragmentach, a przesłonięty mgłą niedopowiedzeń w innych. Wadliwe rozpoznanie wpływa na skuteczność metod zapobiegawczych.

Komunizm współczesny jest zespołem doktryn pozostawionych światu przez Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Pierwszym trzem zawdzięcza on swą podbudowę teoretyczną nazywaną potocznie marksizmem - leninizmem, Leninowi zaś nadto a głównie Stalinowi — system rządzenia i technikę ekspansji mające być realizacją postulatów doktrynalnych. Pojęcie komunizmu mieści w sobie zatem przynajmniej cztery składniki: pierwszym jest system filozoficzny przyjmujący za punkt wyjścia materialistyczną koncepcję świata; drugim — teoria socjologiczno-ekonomiczna pretendująca do wykrycia praw rządzących życiem społeczeństw; trzecim — system rządów; czwartym wreszcie — technika rewolucji.

MATERIALIZM DIALEKTYCZNY

Z tych czterech głównych składników komunizmu znacznie i siła oddziaływania składnika filozoficznego wydają się najmniej istotne. Materializm nie wiąże się pojęciowo wyłącznie z komunizmem; można wszakże wyznawać materialistyczny pogląd na świat i nie być komunistą. Co prawdą, wpływ intelektualny XIX-wiecznej filozofii materialistycznej zanika w świecie współczesnym i jedynie komuniści trzymają się jej kurczowo, dopatrując się w niej, wbrew nawet osiągnięciom nauk przyrodniczych, cech naukowości; nie zmienia to jednak zasady. Już Demokryt z Abdery starał się wytłumaczyć zjawiska świata ruchem niewidzialnych i niezniszczalnych atomów. Materializm zostaje włączony w system filozoficzny komunizmu dopiero przez zaopatrzenie go w przymiotnik „dialektyczny", traci jednak wówczas wszelką wartość jako teoria filozoficzna. Trudno bowiem o teorię bardziej mętną, niezrozumiałą i nie odpowiadającą obiektywnej obserwacji zjawisk poznawalnego świata. Powiedziano o dialektyce Hegla, że pogrążyła ona filozofię w głębiny, dokąd już żadne nie przenika światło. Marks przez odrzucenie z niej pierwiastków idealistycznych zwulgaryzował ją raczej nie rozjaśniając bynajmniej ciemności. Nie tylko laik, lecz nawet kapłani kultu marksistowskiej spuścizny gubią się w gąszczu werbalizmu cechującego tę doktrynę. Ukazała się niedawno w Związku Sowieckim książka o materializmie dialektycznym opracowana przez zespół autorski pod egidą sowieckiej Akademii Nauk. Wywołała ona powódź sprzecznych ocen w sowieckiej literaturze filozoficznej; gdy się je czyta, trudno się oprzeć wrażeniu, że zarówno autorzy jak i recenzenci, wtajemniczeni wszak w arkana marksizmu, błądzą w jakimś urojonym, nierealnym świecie.

Marks nie był filozofem, lecz ekonomistą i socjologiem. Materializm dialektyczny był mu potrzebny jako punkt wyjścia dla teorii materializmu historycznego, stanowiącej istotę marksizmu. Było w owych czasach zwyczajem — jak mówi Plamenatz*) — wiązanie teorii politycznych z generalnymi poglądami filozoficznymi autora; teoria socjologiczna nie odpowiadająca tej zasadzie mogłaby się narazić na zarzut powierzchowności. Marks uległ ówczesnej modzie, nie mniej związek między materializmem dialektycznym a historycznym jest tylko formalny. Materializm historyczny miał być zastosowaniem zasad materializmu dialektycznego do jednej klasy zjawisk — zjawisk społecznych; w istocie rzeczy, według wyrażenia tegoż Plamenatza, spoczywa on na materializmie dialektycznym nie więcej niż okręt na swym odbiciu w wodzie. Można, odrzucając nawet materializm dialektyczny, uznawać prawdziwość jego socjologicznego odgałęzienia. Co więcej, nie ma bezpośredniego związku między materializmem historycznym, którego istotą jest determinizm ekonomiczny, a materializmem w ogóle.

*) „German Marxism and Russian Communism", Longmans, Green and Co, 1954. Jedna z najlepszych analiz krytycznych marksizmu-leninizmu, jakie się ukazały w ostatnich czasach.

MATERIALIZM HISTORYCZNY

Atrakcyjność filozoficznego składnika komunizmu jest zatem znikoma, a jego znajomość, jak można podejrzewać, nawet wśród elity komunistycznej niewielka. Marksizm zawdzięczał swą popularność przede wszystkim teorii materializmu historycznego. Popularność tę przypisuje się zazwyczaj roszczeniom tej teorii do „naukowego" wyjaśniania zjawisk życia społecznego i ustalania ich prawidłowości. Uzależniając przemiany społeczne od zmian warunków produkcji, materializm historyczny w swej formie uproszczonej może istotnie przemawiać do umysłowości ludzi, żądnych nabycia tanim kosztem wiedzy o zjawiskach skomplikowanych i nie dających się ująć w matematyczne formułki. Że nie może on się ostać głębszej analizie krytycznej, nie zmienia to istoty rzeczy. Lecz właściwe źródło popularności materializmu historycznego nie leży, jak się wydaje, w jego nauce o siłach i stosunkach produkcji, o walce klas, bazie i nabudowie; źródła tego szukać należy w jego wywodach o nieuchronności zmian istniejącego porządku społeczno-gospodarczego, w wezwaniu do burzenia rzeczywistości społecznej i budowy nowego, mitycznego świata. Atrakcyjność materializmu historycznego tkwi nie w jego pseudonaukowości, lecz w oddziaływaniu emocjonalnym. „Filozofowie interpretowali dotychczas świat" — mówi Marks — „chodzi o to, aby go zmienić". To hasło zmiany pociąga wszystkich upośledzonych, zawiedzionych, wyrzuconych poza nawias życia społecznego, patrzących z zawiścią na przywileje związane z bogactwem i władzą. Marksizm wieści im koniec nierówności społecznych, co więcej, obdarza ich posłannictwem dziejowym i gwarantuje ostateczny tryumf tego posłannictwa.

Postawy emocjonalnej nie obala się argumentacją, najbardziej nawet przekoywające argumenty logiczne nie studzą namiętności. Dyskusja z komunistą rozbija się prędzej czy później o mur dogmatyki marksko-leninowskiej, o założenia leżące poza sferą analizy i wątpliwości. Źle upasażony robotnik francuski lub głodujący chłop sycylijski pragną przede wszystkim zmiany swych nędznych warunków życia i idą ślepo za mirażem lepszej przyszłości roztaczanym przed nimi przez komunistyczną propagandę. Założenia rewolucyjne marksizmu są im obce, prawa dialektyki chińczyzną, mają nieraz głębokie przywiązanie do własności prywatnej, a jednak głosują na komunistów.

DROGA WALKI

Czynnik emocjonalny komunizmu przestaje działać tam, gdzie po zburzeniu „przeżytków ustroju burżuazyjnego" zmuszono masy do „budowy socjalizmu". Wymowie propagandy przeciwstawiła się o ileż dobitniejsza wymowa faktów. System rządów sowieckich jest najsłabszą stroną komunizmu, najskuteczniejszą odtrutką na magię wielkich słów i światoburczych zapowiedzi. Znajomość rzeczywistości sowieckiej jest jednak w masach społecznych Zachodu niewielka, traktują one nieufnie rewelacje swej publicystyki i prasy. W państwach, gdzie okresowo narastają nastroje quasi-rewolucyjne, drogą do walki z nimi są reformy społeczne. Jedna z najpotężniejszych partii socjalistycznych w Europie, socjaldemokracja niemiecka, była w swej większości partią marksistowską. Bebel, Liebknecht, Kautzky wyznawali marksizm rewolucyjny, na dwóch z kolei zjazdach partyjnych potępiono rewizjonizm Bernsteina. Lecz w miarę postępu reform słabnął zapał rewolucyjny, zastępowała go walka pokojowa o poprawę bytu mas robotniczych. Socjaldemokracja niemiecka przestała wierzyć w rewolucję socjalną.

W Wielkiej Brytanii marksizm nie miał nigdy znaczniejszych wpływów, lecz obie partie brytyjskie nie zamykały oczu na konieczność reform społecznych. Brytyjski system fiskalny skuteczniej być może wyrównywa nierówności w podziale dochodu społecznego niż sowiecka „dyktatura proletariatu". Ameryka przeciwstawia wpływom komunizmu zasadę powszechnego dobrobytu. Wszędzie gdzie proletariusze mają coś więcej do stracenia „prócz swoich kajdan", przestają oni wyglądać zbawienia ze Wschodu. Nie wszystkie wszakże rządy i nie wszystkie społeczeństwa zachodnie zdają się to rozumieć.

TECHNIKA REWOLUCJI

W przeciwstawieniu do systemu rządów czwarty składnik komunizmu, technika rewolucji, stanowi jego stronę najsilniejszą. Komunizm odrywa się w tej dziedzinie od ortodoksyjnego marksizmu i wstępuje na drogę odrębną, drogę Lenina i Stalina. Warunkiem rewolucji socjalnej była dla Marksa dojrzałość do niej systemu kapitalistycznego, powstanie stanu rzeczy, gdy „materialne siły produkcji wchodzą w konflikt z istniejącymi stosunkami produkcji lub — co jest tylko prawnym wyrazem tego samego — ze stosunkami własności, w których obrębie działały one dotychczas... Przestając być formami rozwoju sił produkcyjnych, stosunki te przekształcają się w ich kajdany... Wtedy nastaje epoka rewolucji socjalnej".*) Z punktu widzenia marksizmu można było mówić o dojrzałości do rewolucji komunistycznej Niemiec okresu pierwszej wojny światowej, lecz nie Rosji ani Chin, krajów rolniczych, dojrzewających zaledwie do fazy „rewolucji burżuazyjnej". A jednak rewolucja zatryumfowała tylko w tych dwóch państwach i w obu była konsekwencją wojny. Narzędziem „rewolucji w krajach opanowanych po drugiej wojnie światowej były nie masy pracujące zbuntowane przeciw tyranii wyzyskiwaczy, lecz wojska sowieckie. Rewolucja w Europie nie sięgnęła dalej niż stopa sowieckiego żołnierza. Teoria rewolucji przestała się opierać na chimerycznych przesłankach marksistowskiej dialektyki, znajdując nowe, groźniejsze oparcie w sowieckim potencjale wojennym.

Komuniści nie zwracają żadnej uwagi na stopień dojrzałości do rewolucji krajów Europy i Azji, Afryki i Ameryki południowej. Działają wszędzie, stosując jednakowe metody, szerząc fermenty społeczne, organizując strajki i dywersje, a gdzie się da i wojny domowe. Dialektyczne prawa rozwoju społecznego tracą w ich oczach znaczenie, gdy tylko nadarzy się okazja do objęcia władzy. Metody te zawodziły jednak dotąd w Europie; gdy nadal nie odniosą skutku, pozostanie środek ostateczny — ultima ratio wojującego komunizmu — milionowe armie sowieckie. Nie chcą w to wierzyć rządy i społeczeństwa Zachodu, a przecież Mołotow zaprzeczył niedawno tezie, że trzecia wojna światowa byłaby ruiną cywilizacji, oświadczając, że stałaby się ona jedynie końcem kapitalizmu. Wojna w tym ujęciu nie przestaje być nadal narzędziem polityki, środkiem rozszerzenia sfery „zwycięskiego socjalizmu", przyspieszenia procesu, którego wyczekiwali nadaremnie Lenin i Trocki, a który w Europie nie czyni widocznych postępów.

**) Ze wstępu do „Krytyki ekonomii politycznej".

DROGA DO PARYŻA

Inaczej w Azji. Rosja była dla społeczeństw europejskich krajem zacofanym, a jej pretensje do przodownictwa w świecie i wskazywania dróg rozwoju narodom o wysokiej kulturze mogły w ich oczach wyglądać groteskowo. Dla społeczeństw azjatyckich komunizm jest synonimem postępu. Potrafi on w okresie jednego pokolenia przekształcić kraj rolniczy w mocarstwo przemysłowe, mniejsza o to, kosztem jakich ofiar, Azja nie dba o ofiary. Atrakcją dla krajów azjatyckich nie jest materializm dialektyczny bądź historyczny, teorie obce całkowicie ich historii i kulturze filozoficznej, lecz „dziesięć dni które wstrząsnęły światem" i z których wyrosło mocarstwo równe potęgą państwom o przeszłości kolonialnej. Przeszłość ta obciąża demokracje Zachodu; wyrzekły się one wprawdzie metod kolonialnych, lecz mogą wskazać krajom Azji, nie opanowanym jeszcze przez imperializm komunistyczny, jedynie drogę stopniowego rozwoju i reform społecznych. Komunizm ukazuje im skrót tej drogi, skrót krwawy i znaczony hekatombą ofiar, lecz skuteczny.

Nic zatem dziwnego, że komunizm w Azji odnosi sukcesy i że, zanim przyjdzie kolej na atak frontowy na fortece kapitalizmu, podcina on je drogą okrężną. Ostatecznie, według słynnego aforyzmu Lenina czy też Zinowiewa, droga do Paryża prowadzi przez Indie.

IDEOLOGIA CZY SIŁA APARATU

Wszystko to ma niewiele wspólnego z ideologią marksizmu. Sowiecka technika rewolucji jest herezją w stosunku do materializmu historycznego, lecz dlatego właśnie jest groźna. Masy pracujące zastąpiła partia dysponująca potęgą przestrzenną i ludnościową obszaru sowiecko-chińskiego. Komunizm nie utracił swego dynamizmu, zawdzięcza to wszakże nie swej ideologii, lecz wydajności organizacji i techniki działania. Nie wizja nowego świata łączy walczących, lecz siła aparatu i namiętność władzy. Nie znaczy to, by lekceważyli oni doktrynę: doktryna nadaje dyktaturze cechy posłannictwa i uzasadnia dążenia do ekspansji. Lecz muszą oni zdawać sobie sprawę, że zawdzięczają swe sukcesy działaniu wbrew doktrynie. Muszą też widzieć, że w budowanym przez nich ściecie nie ma miejsca na realizację zapowiedzi „naukowego socjalizmu".

W jednym tylko komunizm pozostał wierny testamentowi Marksa: w nienawiści do świata kultury chrześcijańskiej. Nienawiść ta sprawia, że wszelkie próby stabilizacji układu sił na obu półkulach stają się chimerą. I na to zamykają oczy rządy i społeczeństwa zachodnich demokracji, marząc o rozmowach „na najwyższym szczeblu" i „koegzystencji".

Leon Kownacki

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Pielgrzymki do Lourdes i Fatimy w r. 1954. W roku Maryjnym przybyło do Lourdes 3.500.000 pielgrzymów czyli 1.300.000 więcej niż w roku poprzednim. 900 samolotów przywiozło na sąsiednie lotnisko Ossun 25.000 osób. 662 pociągi przywiozły 33.780 chorych. Codziennie przeciętnie udzielano 7.000 Komunii św., nie licząc udzielanych w innych kościołach miasta. Do Fatimy w Roku Maryjnym przybyło ponad 2.000.000 pielgrzymów. Mszy św. odprawiono ponad 12.500, a Komunii św. udzielono pół miliona, nie licząc Mszy św. odprawionych i Komunii św. udzielonych w 17 klasztorach, seminariach i innych domach religijnych w Cova da Iria. W domu rekolekcyjnym odbyło się 43 kursy rekolekcyjne i Akcji Katolickiej. Wśród pielgrzymów byli: kardynałowie (6), arcybiskupi i biskupi (54), marszałek Montgomery, cesarzowa Vietnamu, ambasadorowie, ministrowie, generałowie.

Hołd Claudelowi. W miesięcznym przeglądzie księgarni Lardanchet w Lyonie „Bulletin des lettres" Albert Loranquin w tych m. in. słowach wyraził się o znaczeniu Claudela w literaturze francuskiej: „Ażeby ocenić jak niezwykłym jest wkład Claudela do historii literatury francuskiej, trzeba cofnąć się do ostatnich lat XIX stulecia... W pełni epoki pozytywistycznej, pisarz genialny zdecydował się wszystkie swe siły, wszystkie swe prace poświęcić wywyższeniu katolicyzmu. Podobne zjawisko nie wystąpiło od... Odkąd? Faktycznie, przynajmniej od wieków średnich. Nie licząc, oczywiście, teologów i kaznodziejów, nie licząc Pascala, również geniusza, lecz pisarza-amatora, który nie miał pretensji być artystą, widzi się, że dzieła chrześcijańskie są bardzo rzadkie w tym kraju, który mówi o sobie, że jest umiłowanym przez Boga. Nie dajmy się wprowadzić w błąd przez kilka wyjątków często bardziej pozornych niż rzeczywistych; ani dzieła o pewnym zwykłym pokoście religijnym, jak „Geniusz Chrześcijaństwa", ani „Krucyfiks" Lamartina, ani inne, prawdziwiej czerpiące z siewu chrześcijaństwa, jak „Polyeucie", nie wystarczą do zamaskowania tej oczywistości: w ciągu czterech wieków Chrystus był Wielkim Nieobecnym w literaturze francuskiej. Poprzedzając Peguy i Bernanosa, poprzedzając naszych Mauriaca, La Tour du Pin, Lanza del Vasto i wszystkich najmłodszych, wysoko dziś dzierżących sztandar Chrystusa, Claudel był tym, który ukazał Go znowu w całej Jego istocie... Claudel przywrócił pełną godność artyście katolickiemu, przypominając mu jego zadanie składania Stwórcy hołdu należnego Mu od stworzenia. Oto tajemnica twórczości zagubiona od końca czasów sztuki gotyckiej."

„Znak poganina". Pod tym tytułem jest wyświetlany we Francji film obrazujący czasy „Bicza Bożego", Attyli, króla Hunnów. Film ma wiele szczegółów przedstawionych niezgodnie z historią. Między innymi sławne spotkanie św. Leona I Wielkiego z Attylą przedstawione jest pod Rzymem, podczas gdy w rzeczywistości odbyło się ono pod Mantuą. Krytyk francuski „La Croix" stwierdza jednak, że można filmowi wiele wybaczyć ze względu na jego wielką zasługę wykazania siły modlitwy i tryumfu Krzyża: Bicz Boży został pokonany nie siłą militarną, miał bowiem 100 legionów przeciwko 2 legionom rzymskim, lecz dzięki pomocy Bożej. Były to czasy, gdy Bóg przyszedł z cudowną swą pomocą Europie, kiedy to św. Genowefa ocaliła Paryż, św. Aignan — Orlean, św. Leon Wielki — Rzym. W starciu miecza, znaku poganina, z Krzyżem, znakiem chrześcijańskim, zwyciężył Krzyż.

Działalność Stolicy Apostolskiej. Jak corocznie, ukazało się w Libreria Editrice Vaticana wydawnictwo omawiające działalność Stolicy Apostolskiej. Tegoroczny tom „Attività della Santa Sede nel 1954" liczy 432 strony z 50 ilustracjami. Wydawnictwo nie ma charakteru oficjalnego. Tom zawiera kronikę, dzień po dniu, audiencyj i akt papieskich, omawia działalność Piusa XII i Kurii Rzymskiej, organizację działalności charytatywnej Stolicy Apostolskiej, działalność w zakresie kultury, sztuki, nauki. Podaje ponadto zestawienie uroczystości i kongresów międzynarodowych, na których była reprezentowana Stolica Apostolska.

TADEUSZ FELSZTYN

ASTROLOGIA PUBLICYSTYCZNA

Nienormalna struktura emigracji sprawiła, że każdy z nas parać się musi problemami, do których na pewno nie ośmieliłby się nawet przystąpić w warunkach normalnych. Nic to zresztą nowego. To samo było i na początku naszego okresu niepodległości, pozostawiając na długie lata w naszym życiu państwowym trwały ślad w postaci, słusznych lub wyolbrzymionych, zarzutów „kultu niekompetencji".

Świadomość tego stanu rzeczy powinnaby wyrobić u wszystkich ludzi pióra duże poczucie odpowiedzialności za to, co piszą i szacunek dla tak słusznego hasła Grydzewskiego: „sprawdzać, sprawdzać i raz jeszcze sprawdzać! A jednak w tym samym piśmie, które hasło sprawdzania podniosło do godności żelaznej maksymy występują pisarze, którym się widocznie wydaje, że sprawdzanie ograniczać się powinno jedynie do kontroli dat, nazwisk i drugorzędnych szczegółików, że w sprawach zasadniczych można pisać bez znajomości rzeczy, bez próby nawet zajrzenia do źródeł, bez skontrolowania własnych twierdzeń z elementarnymi faktami z dziedziny, o której się pisze, ot, po prostu to, co ślina na język, lub raczej atrament na pióro, przyniesie.

I tak niedawno W. A. Zbyszewski z właściwym mu tupetem wygłosił swe maltuziańskie credo właśnie w chwili, gdy nad zagadnieniami populacyjnymi obradował międzynarodowy zjazd najwybitniejszych fachowców. I nie przyszło mu nawet do głowy, aby swoje, jakże powierzchowne, tezy porównać z faktami. Po co? „Genialna" intuicja wystarczy.

Ten sam autor, aby zadośćuczynić swej wierze w determinizm historyczny, powiązał kilka lat temu pewne wydarzenia historyczne z rzekomymi zmianami w epoce lodowej. I nie pomyślał nawet o tym, aby zajrzeć do pierwszej z brzegu encyklopedii. Byłby się dowiedział (co mu zresztą z miejsca wytknięto), że w danej epoce nie było żadnych godnych wzmianki zmian w stopniu zalodowienia.

Do determinizmu historycznego powrócił niedawno („Wiadomości" nr 469) i Stanisław Mackiewicz (psychoanalityk łacno dopatrzyłby się podświadomych wyrzutów sumienia) . Artykuł zgłasza pretensję do naukowego ujęcia przedmiotu, a tymczasem autor porusza w nim na czterech szpaltach „Wiadomości" aż kilkanaście od razu problemów, z których każdy z osobna — dla jako takiego naukowego ujęcia — wymagałby co najmniej podwójnej ilości szpalt. Stanisław Mackiewicz uzasadniając swój determinizm historyczny pisze dosłownie: „Od kilku lat stałem się deterministą historycznym... Bieg wydarzeń jest zależny od nastrojów mózgów ludzkich a na mózgi ludzkie wpływają te same siły fizyczne, które decydują o klimacie, roślinności, przypływie i odpływie morza, w ogóle o wszystkim, tj. wpływy kosmiczne... One to sprawiają, że w historii jeden wiek jest wiekiem wojen, inny szczęśliwości, w jednym kwitnie sztuka, w innym rewolucje..."

I oto całe „uzasadnienie naukowe" determinizmu historycznego! Czyżby autor nie czytał nigdy żadnej poważnej pracy na temat historii, czy też psychologii? W pierwszym tomie swej „A Study of History" Toynbee na wielu stronach wykazuje, jak dalece te same przesłanki fizyczne, te same wpływy zewnętrzne, wywołują rozmaite skutki, zależnie od tego, na kogo działają i konkluduje (str. 300): „nie wolno nam się dziwić, że spotykamy to zjawisko niejednolitości i zmienności skutków wywołanych, w rozmaitych wypadkach, przez tę samą przyczynę, nawet jeśli ta sama przyczyna działa na tę samą rasę, w tym samym otoczeniu, w tych samych warunkach".

Po tej pracy Toynbee'go każdy, kto chciałby uzasadniać determinizm historyczny, musiałby wpierw przeanalizować podane przez niego przykłady i przekonywująco uzasadnić, dlaczego te same warunki wywołują tak przeróżne skutki. Samo rzucenie określenia, że się stało deterministą historycznym, wystarczyć może najwyżej psychologowi, który bada stany duchowe pacjenta. Na pewno dla uzasadnienia tezy naukowej jest to grubo za mało.

Nie czuję się dość kompetentny, aby dyskutować na temat, czy teorie Toynbee'go należycie odzwierciadlają bieg dziejów. Nie ulega jednak wątpliwości, że jego teza zasadnicza „wyzwania i odpowiedzi" doskonale odpowiada temu, co nowoczesna psychologia mówi o świadomej działalności ludzkiej. Nawet stojąc na gruncie najściślejszego epifenomenalizmu (identyczności myśli ludzkiej z pracą mózgu) należy stwierdzić, że każdy akt psychiczny człowieka jest kombinacją „wyzwania" w postaci takich, czy innych bodźców zewnętrznych, oraz „odpowiedzi" nań naszej psyche. A odpowiedź ta nie jest bynajmniej prostym wynikiem owej zewnętrznej przyczyny, tak jak to się dzieje w przyrodzie martwej (Mackiewiczowski „klimat", i „przypływ i odpływ morza"), lecz współdziałaniem ludzkiej podświadomości — z jej wszystkimi urazami, kompleksami, typami psychicznymi wrodzonymi, nabytymi przez doświadczenie osobiste, przez wychowanie, wpływy otoczenia itp., przy czym wpływ podświadomości jest częstokroć znacznie silniejszy niż świadomości. W tych warunkach ten sam bodziec, to samo „wyzwanie", wywołuje całkowicie odmienną odpowiedź u różnych ludzi, czy też grup ludzkich.

A cóż dopiero jeśli odrzucić całkiem bezzasadny epifenomenalizm! Mackiewicz bez zmrużenia oka mówi: „nastrój mózgu ludzkiego". Na jakiej zasadzie? Wszak dziś coraz więcej faktów świadczy o tym, że świadomej działalności myśli ludzkiej nie wolno identyfikować ze zmianami fizyko-chemicznymi mózgu. Jeśli więc do bogatego obszaru ludzkiej podświadomości (innej u każdego człowieka) dodamy jeszcze, jakże różną u różnych ludzi, moc i strukturę ludzkiej duszy, powiedzenie, że bieg wydarzeń, a więc bieg czynów ludzkich, jest bezwolnym wynikiem znanych i nieznanych czynników zewnętrznych („wpływy kosmiczne"), to nic innego, jak po prostu astrologia publicystyczna, by nie powiedzieć nieuctwo.

Profesor Witoszyński, jeden z najwybitniejszych profesorów przedwojennej Politechniki Warszawskiej, opowiadał mi swego czasu, że każdemu, kto zgłaszał się do niego z wynalazkiem, dawał papier, ołówek i kilka podstawowych pytań z zakresu tej dziedziny, której zastosowaniem miał być jego wynalazek. Jeśli odpowiedź wykazywała jaką taką, elementarną choćby, znajomość tej dziedziny, prof. Witoszyński chętnie rozpoczynał rozmowę. Jeśli jednak wykazywała całkowitą ignorancję podstawowych faktów i praw, profesor mówił do „wynalazcy": „Naucz się pan wpierw, a potem dopiero będziemy mogli gadać". Sądzę, że podobna próba przydałaby się kilku co najmniej publicystom na emigracji.

Tadeusz Felsztyn

KSIĄŻKI

POD ZNAKIEM MICKIEWICZA

HOJNY DAR NA WYDAWNICTWO MICKIEWICZOWSKIE

P. H. Korab-Janiewicz, właściciel firmy „Pasco“ w Newark, N.J., złożył hojną ofiarę w kwocie 1.000 dolarów dla Polsko-Amerykańskiego Komitetu Roku Mickiewiczowskiego na wydanie w języku angielskim książki „Adam Mickiewicz in World Literature“, którą redaguje prof. W. Lednicki.

Do czeku dołączony był list dla prof. Wacława Lednickiego następującej treści:

„Wielce Szanowny Panie Profesorze!

„Działo się to w Moskwie w 1915 r. Szesnastoletni chłopiec, aresztowany w Polsce za należenie do Związku Strzeleckiego, został wysłany do Katorgi Butyrskiej, a następnie do Taganki pod Moskwą, której oficjalna nazwa brzmiała „Celkowe Zamknięcie dla Więźniów Politycznych Szlacheckiego Pochodzenia“. Po kilkumiesięcznym tam pobycie został wezwany do kancelarii carskiej żandarmerii, gdzie oświadczono mu, że zostaje porządkiem administracyjnym zesłany na Syberię i jako zesłany administracyjnie, ma prawo wyboru „obłasti“.

„Siedząc w Butyrkach chłopiec ten dowiedział się, że sprawą jego zajmuje się p. Aleksander Lednicki, znany adwokat w Moskwie. Nie wiedząc nic o Syberii, chłopiec ten poprosił żandarma o pozwolenie zatelefonowania do mecenasa Lednickiego o radę. Szczęście mu sprzyjało: pan Lednicki był w domu. Polecił żandarmowi zatrzymać chłopca w kancelarii więziennej do jego przyjazdu.

„W kancelarii więziennej byli wówczas tylko dwaj więźniowie — chłopcy w tym samym wieku. Po jakimś czasie drzwi kancelarii otworzyły się. Wszedł starszy pan w futrze, spojrzał na więźniów i — wiedziony widocznie instynktem — podszedł do właściwego chłopca, uścisnął go, ucałował i szepnął do ucha: „Urwałeś się, chłopcze, z szubienicy“.

„Na poręczenie mecenasa Lednickiego pozwolono chłopcu temu na zamieszkanie w Sokolnikach pod Moskwą, pod nadzorem policji.

„Tym chłopcem, Panie Profesorze, byłem ja.

„Po przeczytaniu w „Nowym Świecie“ z dnia 23 lutego br. artykułu. „Wydanie wielkiego dzieła o Mickiewiczu“, postanowiłem uczcić pamięć wielkiego patrioty i szlachetnego człowieka, ś. p. mecenasa Aleksandra Lednickiego, pomagając Panu, Panie Profesorze, w wydaniu przez Pana dzieła o Mickiewiczu. Jednocześnie przesyłam do Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce czek na sumę 1.000 dol., przeznaczając tę kwotę na powyższy cel.

„Mam nadzieję, że moja skromna ofiara zachęci innych do poparcia finansowego wysiłków Pana Profesora i całego Komitetu Roku Mickiewiczowskiego, by pamięć i dzieła naszego Wieszcza Narodowego zostały godnie uczczone.

„Proszę zarazem Pana Profesora, by zechciał uważać mój dom za swój dom, ilekroć będzie Pan Profesor w naszych stronach.

„Wyrazy prawdziwego szacunku i poważania, śle

Henryk Korab-Janiewicz.“

„PAN TADEUSZ“ PO ROSYJSKU

W Moskwie ukazało się nowe, ilustrowane wydanie „Pana Tadeusza“ w przekładzie Pawłowej. Przedmowę napisał znany poeta ukraiński Maksym Rylski, tłumacz arcydzieła na język ukraiński. Nowe wydanie „Pana Tadeusza“ jest reklamowane jako przyczynek do obchodu Roku Mickiewiczowskiego w Związku Sowieckim. Dla uczczenia tej rocznicy Związek Sowiecki przekazał reżymowej Akademii Nauk materiały z archiwów z Leningradu i Moskwy, dotyczące działalności Mickiewicza w czasie jego pobytu w Rosji.

„OSSERVATORE ROMANO“ O „LAURZE KAPITOLU“

W numerze „Osservatore Romano“ z dnia 11 marca br. ukazało się w dziale recenzji książek omówienie tomu „Biblioteki Polskiej“ pt. „Laur Kapitolu i wianek ruty“ Jana Bielatowicza. Oto co dziennik watykański pisze o książce:

„Autor tej zajmującej książki, były oficer Drugiego Polskiego Korpusu gen. Andersa, przybył do Włoch w dziesięć lat po zakończeniu wojny, aby zwiedzić miejsca, przez które maszerowali i gdzie walczyli żołnierze jego szlachetnego narodu, i zobaczyć to wszystko, co po nich jeszcze pozostało. W swojej wędrówce odwiedził cmentarze wojskowe w Cassino, Loreto i Bolonii, gdzie leżą polegli w tylu bitwach; bawił dłużej w Rzymie dla napisania książki o sugestywnym tytule.

„Jest to książka napisana pięknym stylem, z erudycją, przepojona szczerym liryzmem i głęboką sympatią dla Włoch. Warto zanotować, że stronice tej książki wypełnia treść głęboko chrześcijańska. Autor zwraca uwagę, że węzły religii i kultury łączą Polskę i Italię w odwiecznej przyjaźni.“

„SAMOTNY GUŚLARZ“

Wiele uwagi poświęcił książce „Laur Kapitolu i wianek ruty“ tygodnik katolików reżymowych „Dziś i Jutro“, omawiając tom w całostronicowej recenzji w nrze 6 z dnia 13 lutego b.r., zatytułowanej „Samotny guślarz czyli Dziady... ale nie drezdeńskie“. „Samotny guślarz“, to autor książki, a Dziady nie drezdeńskie, to emigracja. Jaż łatwo się domyśleć, autor recenzji, p. Zbigniew Czajkowski, nie potraktował ze zbyt wielką życzliwością „Lauru Kapitolu“, przeciwnie, książka dostarczyła mu pozoru do ostrej rozprawy z emigracją.

„Dziś i Jutro“ ubolewa nad autorem i wydawcami „Lauru Kapitolu“, że „niektórzy ludzie nie przywiązują znaczenia do niepowtarzalności pewnych tradycji i zwyczajów, powracają do nich uparcie i próbują wzorem dawnych guślarzy wywoływać duchy i widma“. Jan Bielatowicz — według ob. Czajkowskiego — „próbował wskrzesić z włoskich cmentarzy mitycznego Winkelrieda i powrócić z nim do Anglii. Winkelried okazał się jednak zmurszałą ideą, a autor niefortunnym guślarzem. Miast bowiem uzbroić się w siłę, w patos, w nieśmiertelność — brak których tak odczuwają ludzie, którzy go wysłali — doznał jeszcze jednej klęski.“ Dalej „Dziś i Jutro“ przytacza liczne urywki z „Lauru Kapitolu“, które przez swą szczerość mają być dowodem klęski emigracji. „Nie znaczy to — pisze Czajkowski — że Bielatowicz podejmuje polemikę ideologiczną ze swymi mocodawcami, nie, wręcz przeciwnie — nieświadomie przyznaje się on do porażki, poniesionej od milczących pomników. Grono sprzymierzeńców wojny ścieśniło się więcej o jeszcze jeden krąg — tym razem, jak na ironię — o krąg niemal dantejski.“

Dalej idą wyzwiska od „emigracyjnej kliki, która nie rozumie dialektyki przemian i rozwoju społecznego“ i liczy ciągle na nową wojnę. Zdaniem „Dziś i Jutro“, cel reportażu z włoskich pól bitew był następujący: „Reportażysta byłego II Korpusu fatygował się dlatego do Włoch, aby sprowokować gorętszą atmosferę w zamierającej ideologii kół emigracyjnych, aby poruszyć z kawiarnianych foteli panów pułkowników wspomnieniem o Monte Cassino, otumanić jeszcze raz emigrantów zapowiedzią wojny i zmian w gnuśnym życiu tysięcy rozproszonych na Zachodzie Polaków. Do tego celu mają służyć jego reportaże kolportowane na emigracji. W swej misji naprawdę jest podobny niefortunny reportażysta do guślarza, który na zapytanie chóru: „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, Co to będzie, co to będzie“, odpowiada szybko: Wojna, panie dzieju. „Wojna burzy, ale i buduje. Burzy stary porządek, buduje nowy.“ Tą kwintesencją kończy się reportaż Bielatowicza.“

Następnie idzie zwykły wywód o dobroczynnej „rewolucji“, łaskawie Polakom wypożyczonej przez sąsiada ze Wschodu, o sojuszu emigrantów z odradzającym się hitleryzmem oraz o naiwności maluczkich, którzy idą na pasku „figur“ emigracyjnych, do których zaliczono też Bogu ducha winnego autora „Lauru Kapitolu“,

Ciekawe, czy ob. Czajkowski recenzję swą napisał tak sam ze siebie, czy też na zamówienie społeczne. Gdyby się tak dało na obrzędzie „Dziadów, ale nie drezdeńskich“ wywołać ducha ob. Czajkowskiego, przypuszczalnie na to pytanie odpowiedziałby z jękiem: „Dla chleba, panie dzieju, dla chleba“.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

APOKRYFY NOWEGO TESTAMENTU. Wybrali i opracowal.: Daniel-Rops i prof. F. Amiot. Z przekładu francuskiego przetłumaczyła Zofia Romanowiczowa. Wstęp do polskiego wydania napisał ks. prof. Kazimierz Borowicz. Za zezwoleniem władzy duchownej. Tom V serii niebieskiej „Biblioteki Polskiej“. Nakładem Kat. Ośrodka Wyd. Veritas, Londyn 1955. Stron XXXI+248, okladka płócienna, obwoluta.

FILM

GREENE, ORWELL I MORZE, MORZE, MORZE...

Nigdzie chyba sprawa ceny, jaką się płaci za popularność, nie występuje tak jaskrawo jak przy adaptacji dzieł literackich na ekran — oczywicie, gdy przeróbka filmowa jest robiona pod kątem kasy i według zawsze zawodnych, a jednak stale stosowanych przez przemysł filmowy recept. Niejedno mógłby na ten temat powiedzieć Graham Greene, którego filmy są świetne, gdy pomyślane od początku jako dzieła kinematografii, i zaledwie dobre, lub zgoła nieudane, kiedy przerabiane z najlepszych nawet powieści. Zaczęło się od spaskudzenia przez Amerykanów najpiękniejszej powieści Greene'a „Moc i chwała“ (która ukaże się nakładem „Veritasu“ w języku polskim), szło przez zamazanie i spłycenie „Brighton Rock“, poprzez optymistyczne deformacje w filmowym „Sednie sprawy“ aż do obecnej niefortunnej redukcji **„Końca romansu“**, którego wersję filmową pokazują obecnie w całej Anglii. Jeden tylko „Strącony bożek“ (The Fallen Idol) ostał się, a może nawet zyskał w wymiarze celuloidu, ale to już dość dawna sprawa i mało kto pamięta ten uroczy majstersztyk literatury i kina. Krótko mówiąc w obecnym układzie zwyczajów, ludzi, przesądów i filmowych statystyk (z których „mędrcy“ przemysłu wysuwają produkcyjne formułki) każde prawie przeniesienie dzieła literackiego do medium filmowego wydaje się przede wszystkim redukcją.

Byłoby obrazą czytelników ŻYCIA — pisma przeznaczonego dla inteligencji katolickiej — gdybym streszczał **„Koniec romansu“**, best-seller“ jednego z największych powieściopisarzy katolickich Anglii. Wystarczy, jeśli powiem, że w wersji filmowej (opracowanej przez Lenore Coffee i zrealizowanej w ramach brytyjskiej produkcji Columbii przez reżysera Edwarda Dmytryka) mamy nie tylko daleko idące uproszczenia w toku początkowym romansu pisarza Bendrixa (Van Johnson) z żoną urzędnika państwowego Milesa (Peter Cushing) Sarą (gra Deborah Kerr). Całe zakończenie książki — mianowicie „małe cudy“, jakie dzieją się po nagłej i otoczonej atmosferą świętości śmierci głównej bohaterki — zupełnie wyrzucono z filmu, widocznie w przeświadczeniu, że widz angielski jest jednak zbyt pogański, aby to strawił.

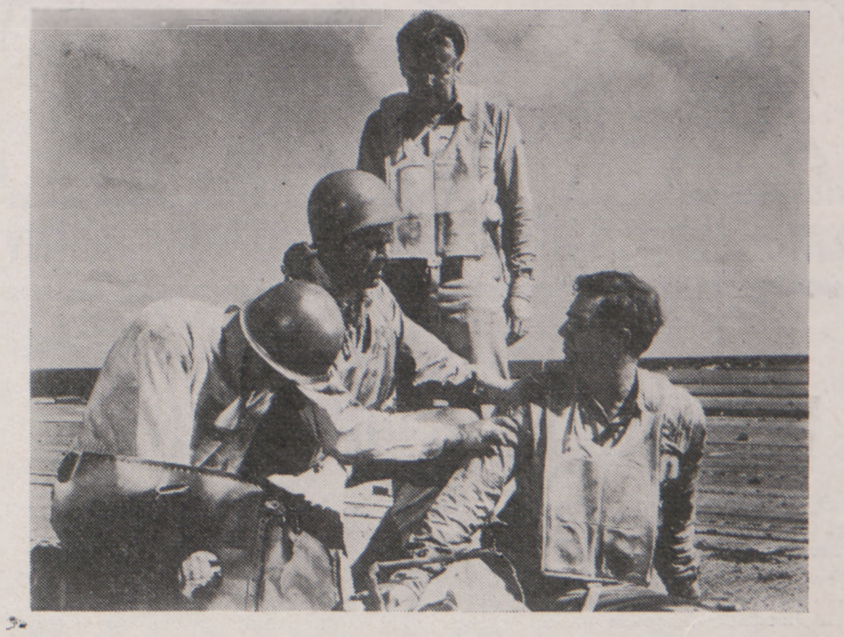
Jeśli mimo tego zabiegu film jest piękny i godny obejrzenia, to zawdzięczamy to przede wszystkim znakomitej kreacji Debory Kerr, która stworzyła bogatą w półcienie, głęboko osadzoną w mistycznych imponderabiliach postać kobiety wołanej przez Boga i dla Boga zdobytej poprzez grzech, poprzez mękę i mimo buntu wszystkiego niemal, co jest w niej ludzkie, subtelne, kruche i gorące zarazem. Aktorka pokazała nie tylko powierzchnię zdarzeń, odczuć i myśli — dała także podtekst, podszewkę. Nie dorównał jej Van Johnson w roli Bendrixa, za to Peter Cushing stworzył ciepłą i stylową postać męża, a John Mills jest całkowicie przekonywujący w roli śmiesznego, a jednocześnie smutnego detektywa. W sumie film „Koniec romansu“ znacznie wybiega przed front przeciętnej twórczości kinematograficznej, choć nie tak jak powieść wybijała się w osiągnięciach literackich ostatniego pięciolecia.

Także w **„Folwarku zwierzęcym“** — filmie brytyjskim, zrobionym przez Johna Halasa i Joy Batchelora według słynnej opowieści George'a Orwella — można obserwować prawo redukcji treści utworu literackiego przy jego przechodzeniu do medium filmowego. Tu jednak zubożenie ograniczyło się tylko do zakończenia, do małej sceny, gdy — wbrew beznadziejności utworu Orwella — tyranizowane przez wieprza Napoleona zwierzęta buntują się przeciw świńskiej tyranii i rozpoczynają marsz — jak się wydaje zwycięski — na pozycje znienawidzonych wrogów. To optymistyczne fałszerstwo (jeśli tak można powiedzieć, skoro chodziło zapewne tylko o tzw. „krzepienie ducha“) można jednak wybaczyć realizatorom filmu, bo w zamian wznieśli istotne walory plastyczno-wizualne, wzbogacające bardzo wydatnie orwellowską przypowieść. I więcej jeszcze: po raz pierwszy pokazano tu, że groteska i karykatura rysunkowa może być z wielkim powodzeniem zastosowana nie tylko do fantazji rozrywkowej Disneya, ale także do tematów jak najbardziej poważnych. **„Folwark zwierzęcy“** jest pięknym i rewolucyjnym osiągnięciem filmowym. Muszę wyznać, że dla mnie był rewelacją. Z jakichś — nawet dla mnie nie zupełnie jasnych — przyczyn opowieść Orwella o świńskiej dyktaturze nad poczciwymi zwierzętami nie wywarła na mnie zbyt wielkiego wrażenia. Tymczasem film jest wprost wstrząsający. Przeniesiony na ekran utwór Orwella nabrał wymiaru groźnej, wymownej, do głębi przejmującej przestrogi. Wiece zwierząt, przemówienia chytrych i chciwych władzy świń, szlachetność osła Beniamina, naiwna gorliwość stachanowca, konia Boksera, bunt kur, zduszony w zarodku przez wstrętnego Stalina-Napoleona przy użyciu groźnych psów-enkawudzistów — to wszystko jawi się na filmie jak dobrze znana i straszna rzeczywistość. Jest piękno i jest siła w tej wielkiej metaforze. Jeśli ten potężny film (którego wszystkich zalet — jak koloru, rysunku — nie mogę tu omawiać) pojawi się jeszcze w zasięgu czytelników ŻYCIA, radzę stanowczo skorzystać z okazji jego obejrzenia.

◆

Ostatnio wysadzono jakąś tajemniczą tamę i chlusnęły na ekrany obrazy morskie. W dodatku przeważnie dobre, albo przynajmniej ciekawe. Na pierwszym miejscu postawiłbym chyba obraz brytyjski **„Above Us the Waves“**, opowiadający — według skryptu C. E. T. Warrena i J. Bensona — pasjonującą historię zniszczenia w czasie ostatniej wojny wielkiego pancernika „Tirpitz“, ukrytego w jednym z fiordów norweskich. Jest to film o dzielności i bohaterstwie ochotniczych załóg marynarki królewskiej, które najpierw na „żywych torpedach“ (maleńkich łodziach podwodnych, kierowanych przez nurków), a potem przy pomocy większych, „kieszonkowych“ łodzi podwodnych dobierają się do niemieckiego olbrzyma i w końcu unieszkodliwiają go. Największy podziw budzi załoga jednej z trzech łodzi, która po uszkodzeniu peryskopu i przyrządów nawigacyjnych pozostaje na dnie morskim aż do ustalonej chwili wybuchu założonych przez inne łodzie ładunków czasowych. Kapitan ten łodzi daje rozkaz pozostania w ukryciu (aby nie zdradzić nieprzyjacielowi rozwijającego się ataku) z całą świadomością, że wypływając po godzinie „0“ ani on, ani jego podwładni nie mają prawie żadnych szans ocalenia. Istotnie giną wszyscy od ognia niemieckiego na oczach wziętych do niewoli kolegów z dwóch pozostałych łodzi, które wykonały zadanie. Film jest dziełem reżysera Ralpha Thomasa, w rolach głównych świetni aktorzy brytyjscy: John Mills, John Gregson i Donald Sinden, Znakomita fotografia czarno-biała Ernest Stewarda.

Amerykańskim dziełem jest inny film morski pod trochę zbyt patetycznym tytułem **„The Eternal Sea“**, w



THE ETERNAL SEA

którym opowiedziano historię dzielnego kapitana marynarki wojennej (Sterling Hayden), tracącego nogę i okręt (lotniskowiec) w czasie jednej z pierwszych bitew lotniczo-morskich z Japończykami w roku 1942. Marynarz ten nie tylko nie załamuje się psychicznie, ale przezwycięża swoje kalectwo do tego stopnia, że w wojnie koreańskiej znów dowodzi lotniskowcem, a potem nawet awansuje na wyższe stanowisko. Obraz ten jest bogaty zarówno pod względem humanistycznym, jak i technicznym, pokazuje bowiem także, w jaki sposób — wbrew opozycji konserwatystów z admiralicji — zdołano przystosować lotniskowce do przyjmowania i wysyłania do lotu samolotów odrzutowych. Harmonia elementów technicznych i ludzkich nie jest tu jednak tak doskonała jak w filmie brytyjskim. Fotografia bardzo dobra. W rolach głównych, prócz wspomnianego Haydena, mniej znani, ale bardzo dobrzy: A. Smith, D. Jagger i inni. Reżyserował John H. Auer.

Jeszcze trzy filmy najświeższej daty są w taki lub inny sposób związane z morzem. Brytyjski obraz wytwórni „Eros Films“ pt. **„The Sea Shall Not Have Them“** to wojenna historia o obsadzie samolotu widzącego „bardzo ważną osobę“ (angielski skrót VIP — very important person), która zostaje zestrzelona i długie godziny czeka na morzu w małej gumowej łodzi ratunkowej zbliżając się w dodatku stale do najeżonego bateriami niemieckimi wybrzeża europejskiego. Bohaterami tego filmu (wyreżyserowanego bardzo dobrze przez Lewisa Gilberta) są takie asy jak Michael Redgrave, Dirk Bogarde, Anthony Steel, Nigel Patrick i Bonar Colleano. Fotografia dobra i obraz na pewno godny widzenia, choć nie bez błędów, wynikających z brytyjskiej manii („stylu“?) dokumentacji i wierności drobnym szczegółom życia.

Ostatnie dwa filmy morskie, które tu zamierzam omówić, mają wspólną cechę doskonałego koloru, a przy tym oba sięgają dosłownie w głąb — ale nie w głąb duszy ludzkiej, tylko w głąb oceanów. Pierwszy, to zatytułowany **„On the Barrier Reef“**, bardzo ciekawa relacja o wycieczce znanych podróżników, małżeństwa Armanda i Michaeli Denis na rafy koralowe przy wybrzeżach Australii, (i z lądowym intermezzem pełnym sympatycznych kangurów), drugi zaś — **„Underwater“** — jest dziwną mieszaniną polegającą na bogatej, ale nie zawsze smacznej wystawie wdzięków Jane Russel z niezmiernie ciekawymi zdjęciami podwodnymi, pokazującymi nurków z aparatami tlenowymi, którzy poszukują skarbów we wraku zatopionym na Morzu Karaibskim. W obu filmach zdjęcia podmorskie naprawdę ciekawe. Wypad Denisów na rafy koralowe sfilmowała wytwórnia Ealing Studios. **„Underwater“** zaś R. K. O. Radio Pictures na szerokiej scenie panoramicznej („Superscope“). Oba obrazy intensywne, ale nie artystyczne.

St. Pał.

MUZYKA

HARMONIA SFER NIEBIESKICH

Kompozytor dyrygujący lub grający swoje własne utwory na koncercie zawsze stanowi pewną atrakcję. Wszyscy miłośnicy muzyki żałują, że nie istnieje nagranie Beethovena wykonującego swoje sonaty, czy Chopina swoje scherza.

Atrakcja jest tym większa im znaczniejsze nazwisko kompozytora. Wielkim wydarzeniem muzycznym Londynu w zeszłym roku była np. wizyta Strawińskiego.

Paul Hindemith nie zdobył sobie co prawda tak wielkiej sławy jak Strawinski, ale jest postacią we współczesnej muzyce znaną.

Urodził się w r. 1895 w Niemczech, zamieszkuje obecnie w Ameryce, a dorobek twórczy ma za sobą dość znaczny, obejmujący niemal wszystkie rodzaje muzyczne.

Nic więc dziwnego, że na koncercie w dniu 16 marca Royal Festival Hall był wyprzedany do ostatniego miejsca.

Program dyrygowany przez Hindemitha obejmował, oprócz utworów Haydna i Mozarta, także własną jego symfonię pt. „Harmonia sfer niebieskich“ („Die Harmonie der Welt“). Symfonia ta powstała zaledwie kilka lat temu i oparta jest na motywach z opery o życiu Keplera, jeszcze przez Hindemitha nie skończonej.

Na ogół większość współczesnych kompozytorów jest również dobrymi dyrygentami. Nie jest to regułą, ale potwierdza się w wypadku Hindemitha. Po jego świetnym wykonaniu Haydna i Mozarta można przypuścić, że tym bardziej wykonanie własnego jego utworu, choć na pewno dużo trudniejszego, było doprowadzone do perfekcji. Odniesione wrażenie zdaje się to potwierdzać.

Sama symfonia składa się z trzech części, z których ostatnia ma wyrażać „muzykę sfer niebieskich“ w pojęciu Keplera. (Wiara w to, że ciała niebieskie poruszając się po swych orbitach wydają dźwięki tworzące razem doskonałą harmonię, była w tych czasach rozpowszechniona). Pomijając treść, z muzycznego punktu widzenia można o symfonii powiedzieć, że jest ciekawa, rozwija się dramatycznie, zawiera miejsca silne i kontrastowo łagodne i melodyjne.

Orkiestracja utworu jest bogata, co zresztą nie jest niczym nowym. Na ogół współcześni kompozytorzy lubią duże orkiestry i potrafią je odpowiednio wyzyskać.

Części mocne są oparte głównie na silnie dysonansowych akordach, zmasowanych i o dużej rozpiętości, gdzie perkusja odgrywa poślednią rolę.

Fragmenty łagodniejsze są po większej części w formie fugi z wątkiem zwykle melodyjnym i szerokim. Pewnie dlatego czołowe partie grają tu instrumenty smyczkowe.

Ta technika cechuje wielu nowoczesnych kompozytorów i wydaje mi się, że jest to po prostu dalszy krok rozwoju technicznego po osiągnięciach Beethovena, a jeszcze bardziej Brahmsa.

Na koniec kilka słów o reszcie programu. Złożyły się na nią Symfonia No. 104 („Londyńska“) Haydna oraz Mozarta Sinfonia Concertante na obój, klarnet, fagot, róg i orkiestrę.

Oba utwory, jak już wspomniałem, były wypracowane do najdrobniejszego szczegółu. Jedyny zarzut, jaki tu można Hindemithowi postawić to, że wykonanie było na skalę kameralną raczej niż na koncertową, co teoretycznie jest słuszne, ale w praktyce wielkość nowoczesnej sali koncertowej winna, według mnie, być przeważającym względem.

Jeszcze raz stwierdzić można, że z angielskimi orkiestrami cuda można zrobić, jeżeli się znajdzie dobry dyrygent. Grała Royal Philharmonic Orchestra.

B. G.

LISTY DO REDAKCJI

ŚRODOWISKO WIELKOPOLSKIE

Bardzo dobrze się stało, że ŻYCIE zamieściło obszerny nekrolog tak zasłużonego męża i patrycy jakim był ś p. Witold Leitgeber. Śmiem jednak prosić, aby dać kilka poprawek, nie umniejszających jego zasług, ale dotyczących środowiska wielkopolskiego. Autor nekrologu bowiem powtarza bezkrytycznie znaną legendę wszechpolską, przypisującą partii cokolwiek się dodatniego stało w zachodniej Polsce.

1. „Kurier Poznański“ został założony przez jednego z najwybitniejszych księży poznańskich, Jana Koźmiana, krótko przed r. 1870 jako dziennik konserwatywno-klerykalny, w opozycji do liberalnego wówczas „Dziennika Poznańskiego“, stworzonego przez Hipolita Cegielskiego, pioniera przemysłu polskiego w Poznaniu. „Kurier“ miał okres znaczenia i powodzenia w dobie kulturkampfu, pod redakcją braci Klemensa i profesora Maksymiliana Kanteckiego. Później podupadał i został przez wydawców, Kurię Arcybiskupią, zamknięty w 1904 czy 1905. Tytuł pisma bezpański wzięli narodowi demokraci. Że obrali popularną starą nazwę, świadczy jak niepewnie stawiali pierwsze kroki na poznańskim terenie.

„Kurier“ był wespół z „Dziennikiem“ pismem inteligenckim, ustępował mu jednak co do poczytności i znaczenia, ile że redakcję tegoż objął w r. 1908 przybyły z Warszawy Kazimierz Puffke, długoletni współredaktor „Słowa“. Na czoło prasy poznańskiej „Kurier“ wysunął się w czasie likwidacji wojny, mniej więcej od r. 1920, po zgonie Puffkego, jako półurzędówka Naczelnej Rady Ludowej i Ministerstwa b. dzielnicy pruskiej.

2. Na długo przed zorganizowaniem Narodowej Demokracji w zachodniej Polsce, opinia i prasa potępiała i walczyła z sprzedawczykostwem i innymi ujemnymi objawami. „Kurier Poznański“ nie wniósł tutaj nic nowego; w ilości wyroków sądowych przeciw prasie polskiej nie trzymał bynajmniej pierwszego miejsca.

3. Międzynarodowe sympatie zachodniej Polski od dawna, a tym bardziej podczas wojny r. 1914, szły po linii przeciwniemieckiej. Od pierwszej chwili postawa społeczeństwa była jednolita po stronie koalicji. Do nielicznych wyjątków należała „Gazeta Grudziądzka“ Wiktora Kulerskiego, ale to najpoczytniejsze pismo ludowe, ze swoich 140.000 abonentów w r. 1913 spadło na kilka tysięcy w r. 1920. „Kurier Poznański“ należał do orkiestry filokoalicyjnych pism polskich, nic więcej, wcale nie wodząc prymu.

4. To, co Narodowa Demokracja wniosła do prasy zachodnio-polskiej, była to zaciętość, aby nie powiedzieć zajadłość w sprawach personalnych i rozgrywkach w łonie społeczeństwa polskiego. Stwierdzam, że śp. W. Leitgeber nie ponosi za to odpowiedzialności. W latach, kiedy on wraz z śp. Bolesławem Marchlewskim prowadzili pismo, ton jego był przyzwoity. Wewnątrz zaś stronnictwa poznańczycy niczym się nie zaznaczyli. Rozwój ideologii stronnictwa dokonywał się w Królestwie i Galicji, Poznań biernie przyjmował ewangelie Popławskiego, Balickiego, Dmowskiego.

5. Przejęcie tłoczni Deckera i stworzenie wielkiego koncernu prasowego powiodło się dzięki p. Popławskiemu. Przybył on z Prus Wschodnich z kapitałem i doświadczeniem, wstąpił do spółki wydawniczej „Kuriera Poznańskiego“ i uczynił z niej przedniejsze przedsiębiorstwo dziennikarskie zachodniej Polski. Rola jednak „Kuriera Poznańskiego“, mimo poczytności, w samym stronnictwie nie była nigdy pierwszorzędna.

Ks. Kamil Kantak

ASYMILACJA POLAKÓW

Szanowny Panie Redaktorze!

Punkt widzenia, wyłożony przez p. Jerzego Zubrzyckiego w artykule „Czynniki hamujące asymilację Polaków w Wielkiej Brytanii“ w nrze 14/15 ŻYCIA możnaby uznać za rozsądną próbę wyjaśnienia względnej odporności Polaków na proces wynaradawiania, gdyby rzecz była rozpatrywana od strony angielskiej. Patrząc jednak na rzecz od strony polskiej, wydaje mi się, że trzeba ująć rzecz dosyć odmiennie.

Przede wszystkim odporność nasza nie jest wcale zbyt wielka. Osady polskie w Teksasie (USA) właśnie obchodziły stulecie swojego istnienia. Obawiam się, że Polonia brytyjska, o ile do kraju nie wróci, setnej rocznicy swego istnienia obchodzić nie będzie. Emigrant „polityczny“ wcale nie jest odporniejszy narodowo od emigranta „zarobkowego“. Jest w nim więcej z wykolejeńca, żyje on w o wiele mniejszym stopniu polskim życiem rodzinnym, żyje w o wiele większym rozproszeniu, żyje o wiele mniej polskim życiem parafialnym. Parafia, ze swoimi akcesoriami, takimi, jak szkółka, jest główną obok prasy podstawą życia emigracji zarówno politycznej, jak zarobkowej, a nie ulega kwestii, że parafia nasza w Wielkiej Brytanii jest instytucją nie tak silną, jak parafia polska w początkach istnienia np. Polonii amerykańskiej. Także i prasę mamy gorszą, niż oni mieli w początkach: mniej „parafiańską“, mniej mówiącą o Bogu i ojczyźnie, mniej pielęgnującą cnoty rodzinne — będące przecież głównym warunkiem trwałego opierania się wynarodowieniu — a więcej dowcipkującą na temat rozwodów i zgrabnych łydek.

Co więcej, odwróciłbym określenie przyczyn i skutków, jeśli idzie o ocenę roli czynników instytucjonalnych. Nie dlatego się nie wynaradawiamy, że mamy parafie, gazety, szkółki i organizacje, ale dlatego mamy parafie, gazety, szkółki i organizacje, ponieważ ani nie umiemy, ani nie chcemy się wynarodowić i ponieważ zarówno świadomą wolą, jak podświadomym instynktem stawiamy wynarodowieniu zorganizowany opór. Oczywiście, w dalszej konsekwencji wytwarza się tu koło, w którym skutek staje się znowu przyczyną.

Na zakończenie, chcę stwierdzić, że nie jesteśmy tu jedyną poza mało wyodrębnionymi Irlandczykami mniejszością narodową. Największą mniejszością narodową są w Anglii Żydzi. Mimo szybko postępującej (nie ukończonej zresztą jeszcze) asymilacji językowej, są oni — tak jak wszędzie na świecie — nie tylko religią, ale i narodowością. Ich uczucia patriotyczne należą do Izraela.

POLONUS

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 1 maja 1955.

WYDARZENIA BELGIJSKIE

Sprawa to wprawdzie nie polska, ale też nasza bo katolicka, a przy tym rzucająca charakterystyczne światło na stosunki, panujące w świecie — i dlatego warto się nią zająć. Warto tym bardziej, że prasa na tej wyspie, zarówno angielska, jak polska, w przeważnej większości zajmuje w tej kwestii stanowisko stronnicze, jakby antykatolickie, przemilczając najważniejsze jej aspekty, toteż polski czytelnik gazet na emigracji przeważnie nie rozumie o co tu chodzi. Katolicy robią w Belgii jakieś zaburzenia, jakieś rozruchy. Policja w imię ładu i praworządności zaburzenia te tłumi. To wszystko, co wie ten, kto nie zapoznał się bliżej z faktami.

Przestudiujmy więc fakty.

Zacznijmy od przestudiowania danych dotyczących dotychczasowego stanu szkolnictwa belgijskiego.

Od lat osiemdziesięciu panuje w Belgii system oświaty polegający na tym, że państwo oraz samorządy utrzymują szkoły świeckie, w których nie ma nauki religii, a Kościół utrzymuje szkoły prywatne, katolickie, z nauką religii i te ostatnie szkoły otrzymują ze skarbu państwa subwencje. Subwencje te nie są zbyt wysokie: dość powiedzieć, że w roku skarbowym 1954 na głowę dziecka w szkołach katolickich rząd belgijski wydał 7400 franków, a na głowę dziecka w szkołach bezreligijnych 19.500 franków, (liczby te czerpiemy z prasy paryskiej, zdaje się, że podane są one we frankach francuskich, nie w belgijskich). Szkoły państwowe są pod wielu względami uprzywilejowane i dla rodzin ubogich posyłanie dzieci do szkół katolickich połączone jest nieraz z rzeczywistymi poświęceniami natury materialnej. Mimo to, w roku szkolnym 1953/54 do szkół powszechnych państwowych uczęszczało w Belgii 362.000 dzieci, a do szkół katolickich 464.000. (W szkołach średnich liczby te wynosiły 66.000 i 78.500).

Już system dotychczasowy nie był dla katolików sprawiedliwy: proszę zważyć, że szkoły państwowe utrzymywane są z kieszeni **wszystkich** podatników, z katolikami włącznie, a więc katolicy muszą łożyć duże sumy na utrzymanie szkół bezreligijnych, do których dzieci ich nie uczęszczają, a potem, **oprócz tego** wykładać dobrowolnie część pieniędzy na utrzymanie szkół własnych. Wydawałoby się, że w kraju, w którym większość rodziców życzy sobie dla swych dzieci szkolnictwa katolickiego pod zarządem Kościoła, rzeczą normalną i stojącą na pierwszym miejscu powinno być raczej szkolnictwo katolickie, a rzeczą wyjątkową powinno być raczej szkolnictwo bezreligijnej mniejszości. A już co najmniej, powinna panować zupełna równomierność w traktowaniu, polegająca na wypłacaniu z sum podatkowych takich samych kwot na głowę dziecka dla obu typów szkolnictwa.

Ale jak się okazuje, ten system był jeszcze dla katolików za dobry.

U władzy jest dziś w Belgii rząd, złożony z socjalistów i liberałów, któremu patronuje masoneria, a który korzysta też i z cichego poparcia komunistów. Minister oświaty tego rządu, socjalista Collard, wniósł do parlamentu projekt ustawy, rewolucjonizującej ustrój belgijskiego szkolnictwa. Ustawa ta redukuje subwencje dla szkolnictwa katolickiego w taki sposób, że to podcina podstawy finansowe jego istnienia, daje rządowi prawo zamknięcia każdej szkoły prywatnej, jeśli to uzna za stosowne, oraz kasuje równouprawnienie szkolnictwa katolickiego ze szkolnictwem państwowym, między innymi pozbawiając gimnazja katolickie prawa wystawiania świadectw maturalnych, oraz odbierając niektóre uprawnienia absolwentom uniwersytetów katolickich z czcigodnym uniwersytetem w Lowanium (Louvain) na czele. Należy przy tym dodać, że ten sam rząd postanowił zlikwidować obecny system szkolny w Kongo, polegający na popieraniu szkolnictwa misyjnego i zbudować dla ludności murzyńskiej sieć szkolnictwa ateistycznego.

Jest rzeczą widoczną, że plan zlikwidowania lub osłabienia szkolnictwa katolickiego jest od czasu ostatniej wojny planem wolnomularskim o skali ogólnoświatowej. Jednolitą akcję, polegającą na tym, by złamać szkolnictwo katolickie przez podcięcie jego podstaw finansowych, widać w całym świecie — widać ją we Francji, w Argentynie, w Afryce Południowej, widać ją w Stanach Zjednoczonych i w Anglii, widać ją obecnie i w Belgii. Jeśli na „drugiej tacy" w kościołach katolickich w Anglii musimy teraz składać takie duże datki — to z pewnością ma to jedną z przyczyn w tym, że w pewnych kołach szkolnictwo katolickie nie jest tu mile widziane i że mu się, łagodnie mówiąc, życia nie ułatwia.

Ale w Anglii katolicy są mniejszością, a więc trudności szkolnictwa katolickiego tutaj można na ogół zrozumieć. Natomiast w Belgii są oni większością. Nic dziwnego, że się z zamachem na swoje szkolnictwo nie chcą pogodzić.

Posłowie katoliccy w komisji oświatowej parlamentu uchylili się od wszelkiego udziału w dyskusji nad ustawą ministra Collarda żądając po prostu wycofania projektu. A katolicy poza parlamentem — odpowiedzieli strajkiem szkolnym i manifestacjami ulicznymi.

W owych manifestacjach w Belgii w samej tylko Brukseli (wraz z przedmieściami) w niedzielę 27 marca brało udział sto tysięcy osób. Policja, uzbrojona w hełmy szturmowe i pistolety automatyczne, aresztowała 1500 osób, w tym 4 posłów do parlamentu. Około 100 osób, w tym były katolicki premier Duvieusart i były katolicki minister oświaty Harmel, zostało rannych. „Wybryki" były tłumione z najwyższą brutalnością, trochę nie pasującą do ustroju demokratycznego i do spraw oświatowych. Pistolety automatyczne przeciwko demonstrantom, protestującym przeciwko ograniczeniu uprawnień szkolnictwa prywatnego! Szarże konnej żandarmerii z obnażonymi szablami! Siedem tysięcy uzbrojonych żandarmów i trzy tysiące uzbrojonej policji, oraz samochody pancerne z karabinami maszynowymi! W Brukseli zakaz gromadzenia się na ulicy grup większych niż pięć osób! Stan oblężenia! Zakaz wjazdu samochodów prywatnych do miasta! Z górą sto pociągów skasowanych na rozkaz rządu na kolejach! — Ależ to metody rządowego terroru! Gdzie to jest? Za żelazną kurtynę? Nie. To po prostu — w rządzonej przez masonerię Belgii.

I to w parę lat po tym, gdy rząd katolicki ustąpił w Belgii przed rozruchami ulicznymi, zorganizowanymi przez dzisiejsze partie rządzące socjalistów i liberałów (wraz z komunistami) w t. zw. sprawie królewskiej. Sprawa rządu była wtedy moralnie o wiele mocniejsza, niż sprawa rządu dzisiejszego w kwestii szkolnej. Rząd katolicki przeprowadził wtedy plebiscyt — i w plebiscycie tym 58% głosów wypowiedziało się za tym, że król nie ma abdykować. Ostatecznie, dwa są rodzaje spraw spornych: takie, w których mniejszość winna ustąpić i takie, w których wola mniejszości winna być uszanowana. Sprawy szkolne, to są typowe sprawy, w których mniejszość ma swoje prawa: trzeba pozwolić mniejszości (tym bardziej większości) mieć dla swoich dzieci takie szkoły, jakie chce. Ale w sprawie takiej, jak abdykacja króla, nie można zaspokoić pragnień obu stron; król nie może równocześnie abdykować i nie abdykować. Większość sprzeciwiała się abdykacji, ale pod naciskiem ulicy katolicki rząd skapitulował i król zrzekł się tronu.

Ówczesne wydarzenia dają dziś katolikom belgijskim tym większe prawo bronienia swych uprawnień — także na ulicy.

Jest rzeczą pocieszającą — że to potrafią. Sprawa królewska nauczyła ich wiele. Przekonali się, że nie wszystko się rozstrzyga kartką wyborczą i walczą dziś z marksistami i z masonerią na ich własnym gruncie.

Manifestacje belgijskie, mimo pistoletów automatycznych, granatów łzawiących, sikawek strażackich, pałek policyjnych, szarż szwadronów konnicy i aresztowań świadczą, że katolicy panują dziś nad belgijską ulicą.

To dobrze! To dowodzi, że nauczyli się wiele, że stwardnieli, że pozbyli się tej bezradności, jaką okazywali w sprawie królewskiej. A czasy są takie — że katolicy winni umieć być twardzi, odważni i mocni. Bo siły wrogie chrześcijaństwu atakują dziś Kościół i wiarę bynajmniej nie wyłącznie tylko kartką wyborczą. Trzeba im umieć stawiać czoła, przeciwstawiać się — nie tylko słowami protestu, drukowanymi w gazetach i wygłaszanymi z trybuny parlamentarnej, ale gdy trzeba — to i piersią, wystawioną na pistolety automatyczne i karabiny maszynowe.

POLONUS

P. S. Już po napisaniu powyższego artykułu widziałem rozruchy brukselskie w kinie. Obraz jest imponujący — i wzruszający. Te olbrzymie masy „parafiańszczyzny", zdrowej, uczciwej, wiernej, kochającej Boga i ojczyznę, nie mędrkującej, ale odważnie i mocno stojącej przy słusznej sprawie, masy od staruszek, kapeluszowych paniuś, nie bojących się kolb i pałek policyjnych, do zadzierzystej młodzieży robotniczej. Pewnie tak samo wyglądały te tłumy na procesji Bożego Ciała w Warszawie, do których tuż przed swoim aresztowaniem przemawiał Ks. Prymas Wyszyński!

I ta brutalność policyjna! I te głębokie kolumny policjantów z automatami, przewieszonymi przez piersi!

Przez głośniki rozległy się wyrazy zadowolenia, że nie doszło do „poważniejszego" rozlewu krwi. Inaczej mówiąc — rząd „nie dał się sprowokować".

To zawsze bardzo znamienne, jeśli się ktoś chwali, że się „nie dał sprowokować".

Byliby pewnie ze swoich automatów strzelali i nakładli trupów, gdyby demonstracje były mniejsze. Ale wobec żywiołowej siły okazanej przez katolicką masę woleli dać spokój.

ROZMAITOŚCI

Pięciolecie parków narodowych w Wielkiej Brytanii

Komisja Parków Narodowych działając na podstawie ustawy parlamentarnej z 1947 roku, wyznaczyła 8 obszarów pod parki narodowe. Działalność KPN polega przede wszystkim na ochronie krajobrazu angielskiego od zeszpecenia go przez roboty drogowe, elektryfikacyjne i inne.

Ingerencja KPN, przy kilku tysiącach robót terenowych dokonanych w okresie pięciolecia, ograniczała się jednak do kilku zaledwie wypadków a ponadto i przy nich nie robiono specjalnych trudności aprobując poprawki w planach robót.

KPN stara się o dotacje ze skarbu państwa i samorządów na inwestycje takie, jak budowa miejsc kampingowych, parków samochodowych, restauracja miejsc zdewastowanych, sadzenie drzewostanu, organizacja służby opieki.

Wydobycie pieniędzy z wyżej wymienionych źródeł idzie jednakże opornie i istnieje projekt, by całokształt wydatków pokrywał wyłącznie tzw. Fundusz Ziemski (National Land Fund).

Nowa teoria W. Szafera

W r. 1952 prof. W. Szafer ogłosił wynik swych badań opartych na materiale plejstoceńskiej flory kopalnej pochodzącej z 266 miejscowości. Zagadnienie ilości zlodowaceń czwartorzędowych objawiło się dzięki tym badaniom w nowym świetle.

Wyróżniły one cztery zlodowacenia i trzy okresy międzylodowcowe: 1) zlodowacenie szczecińskie, 2) zlodowacenie krakowskie, 3) zlodowacenie środkowo-polskie i 4) zlodowacenie bałtyckie. Dzielą je od siebie interglacjały: 1) tegeleński, 2) mazowiecki i 3) eemski.

Teoria prof. Szafera, oparta na badaniach florystycznych, ma poparcie innych uczonych dochodzących do tych samych wniosków na podstawie innych danych, np. oscylacji poziomu oceanów i wahań temperatury ich wód powierzchniowych.

Kolorowi studenci

Mary Trevelyan, pełniąca obowiązki opiekuna studentów pochodzących z krajów zamorskich a studiujących na wyższych uczelniach londyńskich, dzieli się w prasie swymi o nich uwagami.

Na 5.000 studentów urodzonych poza Wielką Brytanią jest 2.000 studentów kolorowych. Liczba studentów kolorowych z roku na rok powiększa się, duża ich część nosi swoje stroje narodowe dodając kolorowość ulicy londyńskiej. Nie są oni jednak szczęśliwi, mają trudności mieszkaniowe, wynikające z niechęci większości społeczeństwa do wynajmowania mieszkań kolorowym, a i poza tym odnoszenie się do nich londyńczyków jest raczej chłodne. Zauważono jednak ostatnio jakby pozytywne objawy zmiany na lepsze w tym względzie.

PO ŁEPKACH

POWRÓT TOWIAŃSKIEGO

Dnia 17 lipca 1841 do mieszkania złamanego i zrozpaczonego obłąkaniem żony Adama Mickiewicza w Paryżu wtargnął „człowiek w sile wieku, wzrostu niskiego, krępy, figury niezgrabnej; oczy miał przenikliwe, niebieskie; spoglądające przez okulary; włos siwy, krótko ostrzyżony, czyściutko przyczesany". Nie wiadomo, czy się przedstawił jako Napoleon, bo był z urody jego sobowtórem, czy jako Kościuszko, czy po prostu jako Mesjasz. Uważał się bowiem za każdego z nich potrosze, a zwłaszcza za Mesjasza. W piśmie, które uważał za swoje credo, ze stycznia tegoż roku, głosił o sobie następująco: „Przez proroka widziany Mąż trudem trudów Ducha, miłością ludów w liczbie błogosławionej 44 już odebrał Rozkaz Najwyższy". „Od dawna serce moje gorąco pragnęło zbliżyć się do was, kochani rodacy, i oddać wam to, co z wyżej otrzymałem dla was" — tymi słowy ogłaszał ów Mąż „Sprawę Bożą" w jakimś kącie paryskiej katedry zebranym tam krajanom.

Nikt też nie wie, co się działo dalej po wzajemnej prezentacji w domu Mickiewiczów: czy prorok pokazał jakiś cud podręczny, czy chuchnął albo może hipnotyzował. W każdym razie mówił długo i dużo. Miał dar porywania słowem, którym zniewalał nie tylko poetów, ale nawet generałów i bankierów, i to Izraelitów. Podobno też rozporządzał dużą siłą sugestii, czym jakoby uzdrowił żonę Mickiewicza. Ten punkt działalności Andrzeja Towiańskiego — gdyż o nim tu mowa — jest zresztą niedostatecznie pewny: pani Celina nigdy do pełnego zdrowia nie wróciła, a ponieważ nie znamy charakteru jej dolegliwości psychicznej, trudno dociec, czy rzekome uzdrowienie nie było zwykłym zbiegiem okoliczności.

Towiański poruszył jednak też inną strunę w duszy Mickiewicza: nie miłości małżeńskiej, ale miłości własnej. Mickiewicz był nie tylko uczniem Towiańskiego, ale i na odwrót, był jego mistrzem. Znajomość pism, życia, a w szczególności myśli poety, którą Towiański skrzętnie zdobywał w rozmowach z przyjaciółmi Mickiewicza, dała przybyszowi z Litwy klucz do duszy poety. Podobnie w małych miasteczkach zawodowe wróżki opierają swe rzemiosło nie tyle na liniach rąk, co na starannym zbieraniu plotek.

Nie należy wszakże sprawy upraszczać. Towiański nie był całkiem pospolitym szarlatanem, ale miał umysł nieprzeciętny, a przede wszystkim — mimo wszelkich spaczeń i śmieszności — mocny charakter, o pięknych poglądach społecznych i czysty w życiu osobistym. Jego nauka była litewską odmianą mistyki Swedenborga, posiadającej do dziś dnia wcale licznych zwolenników i własne kościoły w Anglii i krajach skandynawskich. Emanuel Swedenborg narobił w polskich umysłach bodaj większego spustoszenia niż Luter i Kalwin. Jego wpływom podlegali nie tylko poeci romantyczni, ale jeszcze dziś, gdyby dobrze postukać, w niejednej duszy polskiej odezwałby się wyraźnym echem swedenborgianizm. Wiara w „Króla Ducha" jest naszą ulubioną i najbardziej narodową herezją albo raczej polskim mitem. Wywodzi się ona bezpośrednio ze swedenborgiańskiej koncepcji „Człowieka Ducha", aczkolwiek u skandynawskiego mistyka człowiek po śmierci ziemskiej wędruje w inne światy niebieskie, gdzie się dalej doskonali, nie wracając już na ziemię. Ale oczywiście Słowacki był poetą, a nie herezjarchą, więc też przystosował Swedenborga do swoich pieśni w sposób poetycki, nieświadom, że zasiewa herezję. Co innego Mickiewicz i Towiański.

Mickiewicz był towiańczykiem jeszcze przed spotkaniem Towiańskiego, ponieważ obaj byli wyznawcami mistyki Swedenborga.

Ale wpływ osobowości, pozorne uleczenie żony, zagranie na strunie własnej miłości i wspólność wyznawanych idej nie tłumaczą jeszcze gwałtownego wstrząsu, jaki zaszedł w duszy Mickiewicza w czasie spotkania z Towiańskim. Nie tłumaczą w żadnym wypadku dziecięco naiwnej i żarliwej wiary w proroctwa przybysza z Litwy.

Ludwik Plater pisał do Adama Czartoryskiego dnia 12 sierpnia 1841: „Byłem dziś u Mickiewicza dla posłyszenia z ust jego wiadomości, o której od dni kilku mówią. Znalazłem go z twarzą rozpromienioną, duchem wzniesionym i nadzwyczaj wzruszonego. Oznajmił mi, że się nieszczęście nasze kończy, że Bóg cud dla nas objawia i że ten cud jest wyższy, jak wszystkie inne od zmartwychwstania Jezusa; że to jest rzeczą niechybną, iż powrócimy do kraju, że będzie wstrząśnienie we Francji, że my się do niczego mieszać nie powinniśmy i tylko czekać cierpliwie mamy zdarzenia, które wkrótce nastąpi. Na czym to wszystko się zasadza, nie wiem — ale Mickiewicz z takim mówi o tym przekonaniem, jak gdyby miał objawienie z góry."

Przejęty jak dziecko wiarą w rychły tok wypadków, wzywał Mickiewicz Domeykę do Europy, dodając: „Nim do Europy przybędziesz, już się wypadki zaczną i chorągiew nasza będzie powiewać w marszu do Polski".

Chorągiew w marszu do Polski...

Dobrze to nam, emigrantom XX stulecia, zajętym pracą wśród obcych, posiadającym własne rodziny, domy, warsztaty! Lecz nasi poprzednicy w ogromnej większości nie pracowali, nie mieli rodzin, mieszkań, przyszłości. Snuli się po obcych miastach, często przymierając z głodu, w strojach dziwacznych, budząc politowanie i uśmiech ironiczny. Mówili i marzyli tylko o powrocie, śnili o dalekiej ziemi i rodzinach, o chlebie polskim i miodzie. Nic dziwnego, że „utraciwszy rozum w mękach długich", śnili na jawie i podtrzymywali się wiarą w niezwykłe wydarzenia, w cudowne odmiany losu. Mistrz Andrzej często nawiązywał do „dziesięcioletniej na ziemi rekolekcji" emigrantów polskich.

W dziesiątym roku pobytu na obczyźnie do dusz polistopadowych emigrantów zaczął przenikać towianizm i mesjanizm i brać je w swoje władanie.

Mija dziesięć lat emigracji powrześniowej, jeżeli za datę jej rozpoczęcia uznamy koniec drugiej wojny światowej. Dopełnia się nowa „dziesięcioletnia rekolekcja". Czy przypadkiem nie bieży ku nam z Litwy lub od krakowskiego gościńca nowy Towiański?

Bo umysły są już szeroko otwarte na jego słowo i posłannictwo. Stanisław Mackiewicz, niedługo przed przyjęciem urzędu premiera, napisał: „Nie wydarzenie, lecz determinizm dziejowy panuje nad historią... Historia, to przede wszystkim iluzje Don Kichota, jego sny, widziadła, strach, jego pobudki histeryczno-erotyczne... Wielkie iluzje popychają ludzi naprzód do realizacji czegoś nieznanego, pociągającego, zwykle przynosząc cofnięcie się cywilizacji, powrót ciemnoty i wszystkiego w ogóle nieszczęścia, ale porywającego za sobą ludzi i pchającego ich do niesłychanych poświęceń, bohaterstwa, ofiary, dobrowolnych najstraszliwszych męczarni. Ale nie zawsze te wielkie iluzje zamęczają świat. Można trywialnie powiedzieć, że wywołane one są z piekieł albo przez wielkie głody, albo przez niestrawności spowodowane przejedzeniem się..." („Stanisław August", strony 81 i 82). Bagatela! W takim Londynie czy Manchesterze nietrudno o głód, w Paryżu zaś o niestrawność. Do tego jeszcze spóźnione pobudki histeryczno-erotyczne. Trzeba tylko nieszczęścia, aby żona któregoś z działaczy czy wieszczów zapadła na zdrowiu.

Drży ziemia, słychać krok powracającego Towiańskiego. Wyroki determinizmu dziejowego są nieodwracalne! Już jeden z wybitnych publicystów zainicjował „ruch milenijny", tak jak przed stu czternastu laty Andrzej Towiański zapoczątkował „Jubileusz Pański". Kto inny podniósł sztandar „Grunwaldu intelektualnego" i wędrówki myśli polskiej od Jagiełły, poprzez Piłsudskiego do Andersa; słusznie mówił Towiański: „wysokość ziemska Piasta, podniesiona do wysokości chrześcijańskiej Kościuszki". Już po Londynie krążą mapy republiki polskiej ze wspólną granicą polsko-belgijską, szwajcarską i włoską, z Dodekanezem pod naszym protektoratem. W jednej ze szkół wojskowych przerabia się ćwiczenia aplikacyjne okupacji Syberii.

W tamtych czasach gorliwie zabiegano dla „Sprawy" o duszę generała Skrzyneckiego, a dziś się zabiega o innego generała, choć także na literę S „Biesiada" z dnia 17 stycznia 1841 roku była jakby protokółem Aktu Zjednoczenia, od którego miało się wszystko zmienić nieodwołalnie i cudownie. „Biesiadę" kończył mistrz słowami: „Ty, bracie Janie, który w wielkich dniach dla Polski, byłeś wodzem chrześcijańskim Polski wedle prawa epoki przyszłej, stań się, jak to naznaczono jest tobie, wodzem Sprawy Bożej wedle prawa epoki wyższej..." Bez wodza Polacy nie mogli ani wtedy ani dziś.

To, żeśmy narodem wybranym, wie każde dziecko polskie. Że nikt z obcych nie rozumie nic a nic z tego, co się na świecie dzieje, wiadomo doskonale z każdego niemal zdania naszych publicystów. A małoż to Polaków szuka ukojenia w teozofii, spirytyzmie, tajnych związkach, podrzędniejszej masonerii?

Aby jednak dusze dobrze przygotować do wielkości, winniśmy na skołatane głowy włożyć konfederatki, tytułować się per „panie bracie konfederacie" i pozdrawiać hasłem: „Szczęść Boże!". Oto powstał między nami nowy związek dusz, który nie posiada wprawdzie „Wszechmocnych Pełnomocnictw św. Pawła", ale posiada za to głęboką wiarę w ideę polską i w „wielką rewolucję chrześcijańską". Dziś, za naszych czasów, w Londynie, w Roku Pańskim 1955, nie za czasów, gdy Towiański ogłaszał pisma: „O rewolucji chrześcijańskiej w duchu" i „O rewolucji chrześcijańskiej w czynie"! Siódemki paryskie dziś noszą w Londynie nazwę „kręgów bratnich". Omawia się w nich „technikę wyjścia z błędnego koła" poprzez rozpracowanie „ogólnych zasad urzeczywistnienia realizmu chrześcijańskiego", będącego „nowym ustrojem potrzebnym do skutecznej budowy ładu chrześcijańskiego", co wywołuje „potrzebę demokratycznego federalizmu chrześcijańskiego".

Ale lepiej te rzeczy tłumaczy poezja. Z braku Mickiewicza w naszych smutnych czasach niechże przemówi Tyszkiewicz (M. Tyszkiewicz):

Za mało ci dobrodziejstw jeszcze nowych wieków?
To wiedz — że już nie będzie ni chorób, ni leków.
Nie będzie propagandy, ani konkurencji.
Nie będzie się wymagać dla handlu — licencji,
Bo i handlu nie będzie. Wzajemna wymiana...
Wszak, przecież wszystkie dobra są darami PANA.
Znikną pustynie, oraz wszelkie nieużytki.
Da to energia nowa. Świat dotychczas brzydki
W jeden ogród kwiatowy przemieni się wszędzie;
W nim piękno niepodzielnie już panować będzie.
Mógłbym tak sypać zdania — z rogu obfitości...
Bowiem Bóg Wszechmogący w Swej Szczodrobliwości
Ma jeszcze wiele cudów i Swych Łask bez miary,
Dla tych co przetrzymają dni Sądu i Kary.
Coś z tego ma Konfederacja w swoim zapasie
A wprowadzi to w życie w odpowiednim czasie.

* * *

Tobie niech będą dzięki, Boże Uwielbiony,
Za to, że utwór ten wreszcie jest skończony.

Przytoczyliśmy tylko urywek pieśni XXI. Całość programu i wizji można poznać przeczytawszy wszystkie pieśni poety zamieszczone w odpowiednich numerach miesięcznika „Głos Konfederacji".

To nie są, Szanowni Czytelnicy, żadne drwinki. Z wiary śmiać się nie wypada. A cóż dopiero z wiary, wyrosłej z bólu i oczekiwania na „chorągiew w naszym marszu do Polski". Nie drwiny to, lecz dreszcz przerażenia.

Jan Bielatowicz

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE. 12, Praed Mews, London, W.2. England. Telefony: Redakcja: i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. C E N Y O G Ł O S Z E Ń: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0. w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Serrano 2076, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**. 65 Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kulakowska**, 101. Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana oraz **Rev W. Słapa**. Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **B. Galas**, **Pagelstraat 15A**, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 6, **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen **Ave., Winnipeg, Man.** Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13 b) München 13, o r a z **„Informacja Prasowa"**, Posfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM. NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"**, 615, **Henry Street**, **Utica N.Y.** oraz **M. Kijowski**, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., **oraz J. Stojanowska**, 424, Ave „E", Bayonne. N. Jersey oraz **„Pomoc" — Eksport Import**, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna 5.00 frs. SZWECJA. Przedstawiciel: **Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme Z. Bulhak-Jelska**, via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach **PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.**

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel. PAD 9734.